PLACÓWKA

LWÓW, 1. GRUDNIA 1912 r. Nr. 8.

TREŚĆ:

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie — 8 kor., 7 marek, 8 fr. 50 ct., 7 sh., 1 dol. 65 centów. am. — Półrocznie — 4 kor., 3 marki 50 fen., 4 fr. 25 ct. 3 sh. 6 d., 85 centów. am. Kwartalnie — 2 kor., 1 marka 75 fen., 2 fr. 15 ct., 1 sh. 9 d., 45 centów am. Numer pojedynczy — 70 halerzy, 60 fen., 75 centimów, 7 d., 15 centów am.

Numer pojedynczy w zaborze rosyjskim 50 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: **ZBARASKA 7. parter.**

Nr. 8. Lwów, Grudzień 1912 r. Rok I.

PLACÓWKA

MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Szkice z „martwego domu“ polskiej polityki burżuazyjnej.

Zwolennicy „koordynacyi“, wróżbici cudotwórczych jej skutków — srogiego doznali zawodu. Zdawało im się, że wobec zatargów, grożących wojną na ziemiach polskich, że w sytuacyi, w której naród polski stanąć musi do apelu i wyrzec: jestem, wszystkie stronnictwa i wszystkie warstwy ożywione będą jednym duchem i zgodnem pragnieniem rewolucyjnego czynu. Zdawało im się, że, jak to czytaliśmy w jednem z pism, wszyscy „od skrajnej prawicy aż do skrajnej lewicy“ zjednoczą się w chęci postawienia sprawy polskiej na porządku dziennym i że przeciwko najazdowi rosyjskiemu zwróci się jednolita opinia polska, przygotowując w ten sposób ruch ogólno-narodowy.

Jakże się zachowały stronnictwa naszych klas posiadających? Jakie hasła, jakie wskazówki, jakie zapowiedzi czynów wyszły z tego obozu?

To, co słyszeliśmy z tej strony, było zaprawdę gorsze od najpesymistyczniejszych przewidywań naszych. Krótko mówiąc — objawił sie tu paniczny strach wobec ryzyka walki, gnuśna chęć pokoju „za wszelką cenę“, sromotne obstawanie przy status quo trójlojalizmu i trójnajazdu. Gorzej — bo w poszukiwaniu ideologii dla polityki antirewolucyjnej, dla niewolniczego systemu bezruchu i bierności, wyhodowano zarazki moskalofilstwa i panslawistycznych sympatyj.

Dezoryentacya — powiadają zwolennicy „koordynacyi“ i tem słówkiem nader łatwo radzą sobie z faktem, który przecież nie jest przypadkowy ani niespodziewany. Dziś on tylko ujawnia się

w szczególnie odrażającej postaci — bo gdy czasy mogą przyjść tragicznie-poważnie i dla przyszłości polskiej na długo rozstrzygające, szczególnie obmierzłe musi być nędzne politykierstwo sykofantów z obozu grabarzy myśli niepodległościowej i rewolucyjnej.

Sprawdziły się raz jeszcze gorzkie wyrzuty Słowackiego:

Jeszcze co: ani zamachu —
Naród cały hasła czeka,
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: Stójmy! był krzyk strachu!

Ten krzyk: Stójmy! brzmiał ponuro i zawzięcie czasu ostatniej Rewolucyi, jak krakanie kruków na pobojowisku. Z tem zawołaniem skupiały się u nas szeregi kontrrewolucyjne. Rzucano wpoprzek ruchowi rewolucyjnemu wszelkie zawady, jakie tylko wymyślić i wynaleźć mogły: obłędny strach zagrożonego przywileju klasowego i przyzwyczajenie do obroży, każące kąsać rękę, co obrożę tę targa. Ofiarowywano się rządowi rosyjskiemu na pełnomocników w zwalczaniu „anarchii“, przeklinano oręż, który godzi w pierś wroga, ale za to, jak wyznał Dmowski, m u s i a n o „przelać krew bratnią“, prasa burżuazyjna stała się jakby jedną „cloaca maxima“ najnikczemniejszych oszczerstw przeciwko ruchowi rewolucyjnemu. Okrzyknięto Rewolucyę jako niepolską i nienarodową, jako intrygę żydowską, rosyjską, pruską. I pełna była wonczas n.-decka gęba frazesów o „samodzielnej polityce polskiej“, co miało oznaczać, że podczas Rewolucyi w państwie rosyjskiem mamy zachowywać się cicho i potulnie i czekać na łaski cara i carskiej Dumy.

A cóż dziś słyszymy, gdy carat może znaleźć się w groźnem położeniu wskutek wojny, bezpośrednio i w najwyższym stopniu dotyczącej naszej ziemi i naszych interesów? Znowu nawoływania do spokoju, do bierności, do przyglądania się wypadkom z założonemi rękami, do pokornego oczekiwania losu, jaki nam zgotują obce siły. I to, jak dawniej, nazywa się „samodzielną polityką polską“. I, jak dawniej, cała ta nędza niewolniczej polityki klas posiadających ucieka się do wszelkich możliwych wybiegów i wykrętów. I wszystko się czyni, by zażegnać rewolucyjne widmo, aby sprawa polska nie wychyliła się na widownię dziejową.

Naturalnie, czyni się to w imię dumnych haseł. „Samodzielna polityka polska“, „nie chcemy być niczyjem narzędziem“, „nie

chcemy jednego jarzma zmieniać na drugie“, „nie mamy żadnych gwarancyj“ itd. itd.

Więc — w imię „samodzielnej polityki“ jednakowo traktować Rosyę i Austryę, zgóry powiedzieć sobie, że z walki żadnych nie odniesiemy korzyści, ba nawet stawiać najgorsze dla sprawy naszej horoskopy w razie pobicia Rosyi. Oto jak się w bagnie rozumie „samodzielną“ politykę. Terminy języka politycznego tracą wszelki sens, gdy się nimi posługuje żerujący w bagnisku politykier naszych klas posiadających. „Samodzielność“ oznacza w ich języku zrzeczenie się wszelkiego samodzielnego wpływu na wypadki dziejowe, oznacza unikanie walki rewolucyjnej, w jakichkolwiek warunkach ma być ona prowadzona. „Samodzielna“ bierność wobec Rewolucyi w państwie rosyjskiem, „samodzielna“ bierność wobec wojny rosyjsko-austryackiej. Status quo niewoli wobec wszelkich warunków i wypadków.

„Nie chcemy być niczyjem narzędziem“. Więc w imię tego dumnego hasła trzeba być narzędziem każdego z rządów zaborczych z osobna i wszystkich razem. Bo nie możemy ogłosić neutralności wobec wojny. A wtedy bylibyśmy najgłupszem, najnędzniejszem, najbardziej pomiatanem narzędziem, gdybyśmy się uznali za „organicznie wcielonych“ do trzech państw zaborczych i — w największej części Polski, wobec najgorszego wroga, w najsroższem jarzmie spełniali obowiązki carskich „wiernopoddanych“.

„Nie mamy gwarancyj...“ Nie potrzeba im było „gwarancyj“, gdy stawali uroczyście na gruncie państwowości rosyjskiej, gdy „bez zastrzeżeń“ wprzęgali się do rydwanu imperyalizmu rosyjskiego, jako pachołkowie neoslawizmu, gdy tłumili ruch rewolucyjny w Królestwie, nie cofając się nawet przed rozlewem „krwi bratniej“. Nie mieli „gwarancyj“ najmniejszych — owszem, mieli raczej gwarancyę najpewniejszą, że postępowanie ich w niczem nie wpłynie na złagodzenie ucisku — gdy głosowali w Dumie za budżetem i za kontyngensem rekruta i za nowemi olbrzymiemi ciężarami gwoli wzmocnienia floty rosyjskiej. Nie pytali się o „gwarancye“, kiedy uświęcali naszą niewolę, uzuchwalali swoją „wiernopoddańczością“ knutowładztwo i służyli państwowym celom rosyjskim. Ale, rozumie się, gdy chodzi o walkę z najazdem rosyjskim, gdy trzeba opowiedzieć się przeciwko państwowości rosyjskiej — o, wtedy nie ruszą się, dopóki ktoś im z wolności nie zrobi prezentu

i nie uwolni od obowiązku walczenia w imię „samodzielnej polityki polskiej".

Ba prawda! Wszak „samodzielna polityka polska" w przewidywaniu wojny ma polegać na takiem rozumowaniu: Austryak dał, co już mógł dać, więcej nam nie da, za to gotów spełnić różne zachcianki Rusinów i uszczuplić „nasz stan posiadania", z Moskalem niebezpiecznie zadzierać, a zresztą nie traćmy nadziei, że się ta bestya dzika ogładzi i utemperuje, ale Prusak — Prusak to jedyny wróg rzeczywisty. Nie zwalczajmy Rosyi, bo Prusak zamierza stosować ustawę o wywłaszczeniu.

Straszak pruski ma nas tedy pogodzić z najazdem rosyjskim, ma nas powstrzymywać od walki rewolucyjnej z państwowością rosyjską. Figiel ten dla rozrywki politycznej naiwnego plebsu burżuazyjnego i drobnomieszczańskiego wymyślili swego czasu ugodowcy. Wrześnię eksploatowano w nikczemny sposób dla przeciwdziałania ruchowi rewolucyjnemu w zaborze rosyjskim, dla pojednania narodu polskiego z caratem. Później, w czasie Rewolucyi, krzyczano: Prusacy idą! puszczono nawet plotkę bezmyślną, że Prusacy wkroczyli już do Królestwa, — aby straszakiem tym odwrócić uwagę od walki z caratem. Umyślnie wprowadzano zamęt, aby szkodzić ruchowi rewolucyjnemu.

Nie może być nic potworniejszego, nic sromotniejszego od takiej polityki. Bo tu nie chodzi o szczere oburzenie z powodu czynów gwałtu i bezprawia ani też o jakiś rozumny cel polityki narodowej. Ci sami panowie, którzy najgłośniej krzyczeli o gwałtach pruskich i obnażali rany, zadane przez rząd pruski, na forum międzynarodowem, ci sami łagodzili ze wszech sił oburzenie na gwałty moskiewskie i dokładali wszelkich starań, by sprawa polska zaboru rosyjskiego pozostawała sprawą wewnętrzną państwa rosyjskiego. Henryk Sienkiewicz odwoływał się do opinii Europy w sprawie polityki germanizacyjnej, głośno potępiał nowoczesne krzyżactwo, ale milczał o prześladowaniach moskiewskich, milczał o Chełmszczyźnie. Narodowa demokracya zaboru rosyjskiego i austryackiego usilnie i skutecznie zabiegała o to, by sprawa chełmska nie była poruszona w parlamencie austryackim i w delegacyach. Ta sama narodowa demokracya dzisiaj uderza w najgłośniejszy dzwon, gdy chodzi o wywłaszczenie pruskie; i w chwili, gdy grozi wojna między Rosyą a Austryą, ona pragnie z gwałtów pruskich uczynić oś polityki polskiej, demonstruje przeciwko sojuszowi niemiecko-

austryackiemu, doradza Austryi zbliżenie się do Rosyi. Ci szalbierze polityczni wiedzą bardzo dobrze, że na kierunek polityki austryackiej temi swojemi demonstracyami i radami żadnego wpływu nie wywrą. Nie o to im też chodzi: im chodzi o ugodę z caratem, o tamowanie ruchu rewolucyjnego, o osłabienie prądu przeciwrosyjskiego w społeczeństwie polskiem. Zapewne nie mało również przyczynia się do takiej ich postawy fakt, że w Galicyi odepchnięto ich od koryta rządowego, zmuszono do „opozycyi": z bezmyślną tedy złością zawiedzionych karyerowiczów, uprawiają „samodzielną" politykę — wysługiwania się Rosyi.

Zbliżenie się Austryi do Rosyi! Cóż może być bezwstydniejszego jak taka rada w ustach polityka polskiego! A jednak podolacy i n.-decy ośmielają się to zalecać jako „samodzielną politykę polską"! Na takiem „zbliżeniu się" Austrya napewno nic by nie wygrała, natomiast wzmógł by się reakcyjny wpływ Rosyi. A koszta tego zbliżenia przedewszystkiem ponosił by naród polski. I to nietylko w zab. rosyjskim, poczęści i w austryackim, lecz również w zab. pruskim. Prusy bowiem i dziś przyjaźnie usposobione są dla Rosyi; w zatargach obecnych bynajmniej nie chodzi o antagonizm prusko-rosyjski, co też nie mało wpływa na ich przebieg i niezdecydowany charakter. O ile by jeszcze Austrya zbliżyła się do Rosyi, toć jasna rzecz, że ucisk hakatystyczny wcale by nie zmalał, owszem utrwalił by się i wzmógł jeszcze bardziej. Znowu tedy okazuje się, że ucisk pruski dla tych panów to tylko upozorowanie polityki ugodowej w zab. rosyjskim, to tylko płaszczyk dla bezwstydnego wysługiwania się interesom caratu w polityce międzynarodowej.

Nigdy bodaj od czasów Targowicy nie było takiego bezwstydu w polityce polskich klas posiadających. Nawet gdy margrabia Wielopolski w swoim „Liście szlachcica polskiego" zdawał losy Polski na łaskę i niełaskę Mikołaja, miał przynajmniej na swe usprawiedliwienie rzeź galicyjską. Dziś narodowa demokracya szerzy moskalofilstwo i panslawizm bez krzty usprawiedliwienia, w sposób stokroć nikczemniejszy i nieskończenie cyniczny, aby pogodzić społeczeństwo polskie z czarnosecinną państwowością szubienic i rzezi.

* * *

A jakżeż zachowało się Koło polskie parlamentu austryackiego? Jakie wskazania dało narodowi to przedstawicielstwo polskich klas

posiadających, mogące jawnie i swobodnie głos zabrać? Co ono powiedziało narodowi polskiemu i co powiedziało rządowi austryackiemu?

I znów powtórzyć wypadnie za Słowackim:

Jeszcze co: ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: Stójmy! był krzyk strachu!

Koło polskie, gdy zarysowała się sytuacya wojenna, jedną tylko miało troskę, jedno tylko widmo spokój mu zakłócało. Oto zlękło się agitacyi przeciwrosyjskiej! Napiętnowało tę agitacyę, jako idącą „z kół pozanarodowych“. Stara piosenka tak dobrze nam znana, tak żwawo na wszelkie możliwe melodye odśpiewywana czasu Rewolucyi ostatniej! Poza tem Koło polskie nic więcej nie miało do powiedzenia krom zapewnienia, że ono za naród myśli i że społeczeństwo może drzemać słodko, albowiem jego „legalna reprezentacya“ czuwa. Koło nie zajęło tedy żadnego stanowiska, nie dało żadnego wskazania pozytywnego, żadnej myśli nie rzuciło, żadnego celu nie sformułowało. A później cóż słyszeliśmy z ust jego rzeczników w parlamencie i w delegacyach? Słyszeliśmy protest przeciw wywłaszczeniu, słyszeliśmy komplementy dla narodów słowiańskich, słyszeliśmy zapewnienia o wierności dla „dynastyi i monarchii“ i czułym stosunku do interesów mocarstwowych Austryi. Ale nie słyszeliśmy ani jednego słowa o tem, że naród polski ma porachunki do załatwienia z caratem i z carowem państwem, nie słyszeliśmy ani jednej nuty niepodległościowej. Czemże się różnił Leo i Stapiński w swoich wystąpieniach delegacyjnych od Skarbka? Jedynie większym lojalizmem wobec Austryi i jej interesów mocarstwowych! Ale ta „oficyalna“ reprezentacya narodu polskiego nie śmiała nawet napomknąć o tem, że w razie wojny naród polski nie może być biernym materyałem, że on ma swoje interesy, które powinien i musi czynem poprzeć. Nic z tego Koło nie powiedziało: przciwnie, jego wystąpienia były uświęcenem bierności i bezruchu. Oznaczały one kłopotliwe mydłkowanie grabarzy myśli niepodległościowej. I tacy grabarze, nie śmiący poruszyć sprawy polskiej w chwili, kiedy Polska może się stać terenem wojny, mają czoło pozorować swą bierność brakiem „gwarancyj“. Podziwiajmy prze-

biegłość tych nowoczesnych politykierów polskich: oni szukają „gwarancyj“ dla sprawy polskiej w ten sposób, że nie poruszają jej, nie wspominają o niej ani słówkiem!

* * *

Jest w Warszawie dziwny gatunek burżuazyjnego „homo sapiens“: postępowiec. Nie tu miejsce rozwodzić się nad kaprysnemi skokami i zgoła niespodziewanemi miotaniami się tego dzieciucha poltycznego. Dość, że w obecnej sytuacyi, w obliczu grożącej wojny postęp warszawski nie sprzeniewierzył się bałamutnej swej polityce a raczej bezpolitykowości. Szczęśliwie przystosowawszy się do cenzury, nawet w ideologii swej należycie cenzuralny, — na cóż innego postęp warszawski mógł by się dziś zdobyć jak nie na powtórzenie swego „wskazania“ z 1882 r.: „Nie oczekujmy niczego od przewrotów politycznych...“? To też postęp warszawski, „takie widząc świata koło, jakie tępemi zakreśli oczy“, — niczego nie oczekuje, niczego nie spodziewa się... W gruncie rzeczy cała ta prasa postępowa — i „Kuryer poranny“, i „Prawda“, i „Myśl niepodległa“ — w ocenie sytuacyi niczem nie różnią się od p. Dmowskiego. Niebezpieczeństwo pruskie, podżegania austryackie, słowianofilstwo — wszystkie frazesy n.-deckiej polityki międzynarodowej znajdują gościnny przytułek na łamach prasy postępowej.W swoich zachwytach nad zwycięstwami Słowian bałkańskich pisma postępowe dochodzą do obrzydliwego bizantynizmu, do niepoczytalnego bełkotu, który Ferdynanda Koburga i mysikrólika Czarnogórskiego sławi jako bohaterów wolności i zmienia się poprostu w kwik radosny na myśl o wzięciu Konstantynopola przez Bułgarów... A najpocieszniejsze w tem wszystkiem jest to, że panowie postępowcy najświęciej są przekonani, iż, godząc w Turcyę, wymyślają — Rosyi za jej stosunek do uciskanych narodów. Ale jednocześnie ci rzecznicy wolności słowiańskiej na Bałkanach, przysądzający uprzejmie Bułgarom Konstantynopol, narodowi polskiemu zalecają bierność wobec zatargów wojennych. „Nie oczekujmy niczego od przewrotów politycznych“ — takie jest „wskazanie“ tych zuchów, wielbiących krwawą wojnę — na Bałkanach.

* * *

Naszkicowaliśmy tu nastroje „wojenne“ różnych naszych stronnictw burżuazyjnych. I niechaj nas nie łudzi rzekoma zmiana frontu, dokonana przez „Słowo polskie“. Szalbierstwo polityczne zmieniło nieco ton, uprzytomniając sobie widocznie, że zanadto przeholowało w moskalofilstwie i że w Galicyi ta gra polityczna może się stać niebezpieczną dla n.-decyi... P. Dmowski będzie z tamtej strony kordonu uzupełniał pod tym względem galicyjską n.-decyę... „Słowo polskie“ może się stać austrofilskiem, „Gazeta warszawska“ będzie nadal rosyjsko-wiernopoddaną — a cała n.-decya zgodnie pozostanie antirewolucyjną i wrogą wszelkiej walce o wolność i niepodległość.

Zaprawdę, nasze klasy posiadające nie dorosły do przewrotów dziejowych i wobec sytuacyj groźnych i rozstrzygających, w któryh całą naszą siłę rzucić powinniśmy na szalę w imię wyzwolenia, objawiają tylko swą tchórzliwą nędzę, swoje przystosowanie do niewoli, swój wstręt do walki, swoją niezdolność do wyjścia z obrębu interesów kasy ogniotrwałej i marnego krętactwa politycznego.

Res.

Inteligencya a robotnicy.

(Dyskusya.)

(Dokończenie).

VI.

Różnice umysłowości inteligenta i robotnika, różnice, tak wnikliwie analizowane w interesujących uwagach tow. Mańkowskiego, nie mogą mieć podstawowego znaczenia w kształtowaniu się ich wzajemnych stosunków przy wspólnej pracy partyjnej.

Prostolinijna bezpośredniość w sposobie rozumowania robotnika, w przeciwstawieniu do zawiłej linii umysłowych spekulacyj inteligenta, może mieć dużą wartość oryentacyjną przy wspólnem kreśleniu linii działania. We wnioskowaniu bowiem inteligenta nie uczestniczą te sprężyny psychiczne, które tak silnie oddziaływają na robotnika, bardziej zbliżonego do życia praktycznego i odczuwającego na swych plecach cięgi kapitalistycznego bata.

„Przejęcie się ideą zawdzięczamy — mówi tow. Mańkowski — nie teoryom i faktom naukowym, lecz naszym uczuciom i naszemu doświadczeniu życiowemu“.

Któż może prawdzie tych słów zaprzeczyć?

Lecz w takim razie w cóż się obróci ta zmieniona w dogmat wyższość „inteligencyi“ inteligenta nad robotnikiem?

Przewaga siły umysłowej inteligentów jest w partyi równoważona przez realną potęgę świadomego odczuwania swych krzywd przez robotników, przez ich „doświadczenie życiowe“.

Różnice wykształcenia nie mogą być źródłem antagonizmów wśród ludzi, którzy pracują dla wspólnej sprawy. Nie sądzę również, żeby przyczyną antagonizmu robotników i inteligencyi były niezdrowe stosunki w partyach socyalistycznych. Antagonizm ten w mniejszym lub większym stopniu, mniej lub więcej utajony istnieje oddawna i sądzę, że on jest jedną z przyczyn, a nie skutkiem, niezdrowych stosunków w partyach.

Chciałabym zwrócić uwagę na psychikę inteligenckiego proletaryatu, z którego przeważnie rekrutują się funkcyonaryusze partyjni a na którego uświadomienie klasowe tow. Sawicz patrzy, jak mi się zdaje, zbyt optymistycznie. Jeśli stosunki pod tym względem istotnie zmieniają się na lepsze, jak utrzymuje tow. Sawicz, jeśli świadomość i solidarność klasowa podnosi się u ogółu, to podnosi się niezmiernie powoli i nie sięga głęboko.

Wszyscy byliśmy świadkami w pamiętnych latach 1905 i 1906 olbrzymiego pędu w kierunku zreformowania i podniesienia warunków pracy we wszystkich jej gałęziach. I widzieliśmy, jak to budzenie się świadomości własnego interesu szło d o inteligencyi — o d robotników. Proletaryat inteligencyi brał wówczas lekcyę uświadomienia zawodowo-klasowego od walczącego proletaryatu pracy fizycznej.

W owym historycznym momencie proletaryat inteligencyi, za przykładem robotników, walczył o polepszenie warunków swojej pracy. Ogół pracowników inteligentnych wiele na tem zyskał, wzrosło znacznie zrozumienie pożytku solidarnych wystąpień, lecz świadomość klasowa, we właściwem tego słowa zaczeniu, zrozumienie i odczucie związku proletaryatu inteligencyi z klasą robotniczą — wzrosły w bardzo małym stopniu. Pod względem świadomości klasowej, poczucia łączności wszystkich pracujących w walce społecznej — proletaryat robotniczy ma niezmierną wyższość nad proletaryatem inteligencyi.

I zapytuję, czy nie w tym właśnie momencie psychicznym szukać należy istoty tej różnicy między inteligentem a robotnikiem, którą instynktownie odczuwa robotnik, i czy to nie jest źródłem nieufności i niechęci u robotników.

Nie należy tego momentu bagatelizować, gdyż nierzadko przenoszony być może na grunt partyjny w zmienionej może postaci, a wtedy staje się ogniskiem infekcyjnem dla różnych niedomagań partyjnych. Mam tu na myśli te wypadki, kiedy socyalista-inteligent nie odczuwa istotnej solidarności z masą robotniczą i pomimo swój socyalizm uważa się za „coś innego“ od robotników.

To „coś innego“ jest sprawą bardzo złożoną. O znacznej części inteligencyi nie można nic innego powiedzieć, jak to, co tow. Sawicz mówi o zamożnych fachowcach, że mają „burżuazyjną świadomość klasową i burżuazyjną psychikę“. Co się zaś tyczy ogółu proletaryatu inteligencyi, to nie można naturalnie mówić o istnieniu jakiegoś antagonizmu ekonomiczno-społecznego między nim a proletaryatem robotniczym. Lecz ten negatywny moment jeszcze nic nie rozstrzyga, nic nie mówi o świadomości i poczuciu łączności z klasą robotniczą. Otóż właśnie świadomość ta i to poczucie wyrabiają się u inteligentów z wielką trudnością. Tow. Sawicz wskazał pewne cechy, odróżniające położenie ekonomiczno-społeczne proletaryatu inteligencyi i proletaryatu robotniczego, a tow. Kielecki bliżej to rozpatrzył i większy na to położył nacisk. Ale do tych różnic należałoby jeszcze dodać czynniki natury psychicznej, które nie dadzą się w zupełności określić położeniem ekonomiczno-społecznem inteligencyi. Na jeden z tych czynników chciałabym zwrócić uwagę. Mam na myśli silne jeszcze wśród naszej inteligencyi tradycye szlacheckie. Społeczeństwo nasze nie jest jeszcze społeczeństwem zdemokratyzowanem, istnieje w niem dużo przeżytków i narowów szlacheckich. Nie klasa nawet, lecz jeszcze kasta, stanowe, pańskie narowy staroszlacheckie decydują niejednokrotnie o psychologii współczesnego inteligenta polskiego.

Ta to burżuazyjna lub szlachecka psychika staje na przeszkodzie odczuwaniu solidarności z klasą robotniczą. Weźmy takiego młodego inteligenta, głoszącego oderwany światopogląd socyalistyczny. Cóż z tego, jeżeli ten światopogląd jest tylko na powierzchni duszy, a w gruncie rzeczy psychika młodego adepta socyalizmu nie zmienia się, pozostaje burżuazyjną lub szlachecką, i obcem jej poczucie związku z klasą robotniczą? To nam tłumaczy, dlaczego tylu młodych gorliwców socyalizmu tak łatwo po krótkim czasie opuszcza szeregi i wchodzi na wygodne, udeptane ścieżki burżuazyjno-szlacheckie.

Jakiż więc obowiązek ciąży na inteligencyi socyalistycznej, która pełni „twardą służbę“ w szeregach proletaryackich? Oto świadomość i odczucie solidarności proletaryackiej musi przeorać duszę inteligencką

od skiby do skiby, a socyalizm powinien się stać dla inteligenta nie zewnętrznym strojem, który łatwo odrzucić i zmienić na inny, lecz sprawą życiową, głęboką przekształcającą psychikę inteligencką. *Anna.*

Zamknięcie dyskusyi.

Ożywiona dyskusya, wywołana artykułem, umieszczonym w 3—4. Nrze „Placówki", dowiodła, że poruszono jedną z ważnych bolączek chwili dzisiejszej. Dobrze redakcya „Placówki" uczyniła, że powołała w tej sprawie szersze koła towarzyszy do dyskusyi. Mówi się bowiem wiele o stosunku inteligencyi do robotników prywatnie, a rzadko kiedy dochodzi do publicznego wypowiedzenia się, co dzieje się tylko ze szkodą sprawy. Nic tu nie pomoże osłanianie się argumentem, iż nie należy wywoływać w partyi „kwestyi inteligenckiej". Kwestya ta istnieje, a skoro istnieje, rozwiązaną być musi, zgodnie z wymaganiami socyalistycznego programu i naszej codziennej praktyki życiowej. Przy dobrej woli zbiorowej, nie grozi ona zaognieniem.

Że dobrej woli nie brak, przynajmniej w obozie socyalistycznym, uznającym „Placówkę" za swój organ, dowodzi tego dyskusya, jaka się rozwinęła. Głosy zarówno tow. inteligentów, jak i robotników, wykazują, iż wszyscy zdając sobie sprawę z istniejących wśród nas bolączek, rozumieją jednocześnie, co może wpłynąć na naprawę istniejących stosunków. Jeśli chodzi o sprawę roli inteligencyi wogóle we współczesnym układzie klasowym, to wszyscy, biorący udział w dyskusyi, nie zamykając oczu na psychikę współczesnego inteligenta, nie zawsze skłonnego do przyznania się przed sobą samym, iż jest cząstką wielkiego proletaryackiego obozu, godzą się na to, iż zasadniczych różnic, i to takich, któreby uniemożliwiały wspólną pracę proletaryuszów młota i proletaryuszów pióra dla wspólnego wyzwolenia, niema. Jeśli chodzi znów o sprawę stosunku inteligentów-kierowników do szerszych mas partyjnych, to uczestnicy dyskusyi przyznają, iż wina leży po stronie jednych i drugich; aby usunąć wzajemny antagonizm wewnątrz partyi, i jedni i drudzy powinni wspólnemi siłami pracować.

Przechodząc do szczegółów dyskusyi, konstatuję, że moje twierdzenie, iż, pomimo niewątpliwej przynależności większości inteligencyi do klasy proletaryackiej, istnieją pewne, przeważnie, choć nie zawsze, psychicznej natury czynniki, podsycające antagonizm, zostało uzupełnione przez niektórych towarzyszy, biorących udział w dyskusyi. Tak np. tow. Kielecki słusznie twierdzi, że naogół biorąc, inteligenci mają trwalsze podstawy bytu od robotników (choć można by dodać, że robotnicy wy-

kwalifikowani niektórych fachów są wprost niezastąpieni, gdy tymczasem inteligentów - gryzipórków, pracujących po biurach i pełniących podrzędną robotę, szef biura znajdzie zawsze legiony i dlatego może wśród rzeszy urzędniczej, zwłaszcza w Galicyi, widzimy tyle pokory, która, jak wiadomo, niebiosa przebija). I tow. Franek nie bez słuszności zwraca uwagę na przywilej wiedzy, jedyny, jaki pozostał inteligencyi. Dodać tu tylko można, że lepsza część inteligencyi użyła dla dobrej sprawy nabytego dzięki istnieniu niesprawiedliwych stosunków społecznych przywileju. Mając bowiem, dzięki owej wiedzy, otwarte oczy na istotę i genezę dzisiejszego układu społecznego, wskazała ona drogę przyszłego wyzwolenia wszystkim, tworząc trwałą, jak granit, i odporną wobec ataków zostających na żołdzie burżuazyjnym uczonych teoryę socyalizmu naukowego. Dzięki prawdziwej wiedzy, mógł właśnie zrozumieć inteligent, że chełpić się i wynosić ponad innych z powodu jej posiadania nie ma najmniejszego prawa, gdyż w większości wypadków warunki materyalne, a choćby tylko stosunki środowiska, w którem się obracał, ułatwiały mu drogę do jej nabycia, podczas gdy miliony współbraci, chociażby natura obdarzyła ich wybitnemi zdolnościami, do konkurencyi ze szczęśliwym monopolistą ngdy stanąć nie mogły. Zrozumiawszy zaś to, tem większą mógł się przejąć nienawiścią do ustroju społecznego, który milionom wydziedziczonych utrudnił oświatę.

Tow. Franek w odpowiedzi na moją próbę klasyfikacyi grup inteligenckich przypomina, że i wewnątrz klasy robotniczej istnieją antagonizmy. Tak jest rzeczywiście. Szczególniej na Zachodzie, w takiej n. p. Anglii, mamy do czynienia z arystokracyą robotniczą, fachowo wykwalifikowaną i dobrze płatną, która często wyłamuje się z obowiązku robotniczej solidarności i na którą niezawsze rachować można. Wszystko to prawda. Przy klasyfikacyi społeczeństwa w dzisiejszych niesłychanie skomplikowanych stosunkach społecznych unikać należy szablonów i koniecznem się staje zaobserwowanie wszystkich odmian zasadniczych typów społecznych. Ale gdy chodzi o podział społeczeństwa na klasy, przedewszystkiem zwracać należy uwagę na cechy zasadnicze, nie zaś drugorzędne, gdyż, pomimo niejednokrotnie dającego się zauważyć przyćmienia świadomości klasowej wśród poszczególnych grup czy jednostek, powstałego dzięki przyczynom przeważnie psychicznej natury, te właśnie zasadnicze cechy zadecydują o postępowaniu w chwili wielkiej tragedyi dziejowej, gdy staną przeciw sobie dwa światy: wyzyskujących i wyzyskiwanych do ostatecznej walki. A taką cechą zasadniczą jest stosunek jednostki do produkcyi. Ponieważ zaś, jak to wykazałem, stosunek

do produkcyi proletaryatu inteligentnego i proletaryatu robotniczego nie wykazuje zasadniczych różnic, niema więc powodu do rozbratu między temi dwiema grupami.

Sprawa druga, która stanowi składową część pierwszej, a mianowicie sprawa stosunku ogółu towarzyszów do kierowników partyi, przeważnie inteligentów, pochłania lwią część dyskusyi. Tow. Mańkowski chciałby nawet całą kwestyę inteligencką do tej sprawy sprowadzić. Sądzę jednak, że tow. Mańkowski myli się, kiedy twierdzi, że opanowanie władzy partyjnej przez inteligentów podsyca głównie i prawie wyłącznie antagonizm inteligencko-robotniczy. Nietylko do inteligentów-kierowników robotnicy mają pretensye. Żywią je oni w daleko większym stopniu do inteligentów, stojących poza obrębem socyalistycznego ruchu, jak to słusznie stwierdza tow. Knara, dowodząc, że „obywatel“, który zwróci się do robotnika dopiero w chwili walki decydującej, na jego poparcie liczyć nie może. Co się zaś tyczy sympatyków, tych prawdziwych kozłów ofiarnych przy dzisiejszych warunkach nielegalnej roboty partyjnej, to robotnicy rzadko żywią względem nich przyjazne uczucia, o jakich mówi tow. Mańkowski, daleko częściej zaś darzą ich lekceważeniem, jako ludzi, nie mających odwagi do rzucenia się w wir roboty i postawienia swej egzystencyi na jedną kartę.

Że jednak punkt ciężkości naszych dolegliwości partyjnych leży w postępowaniu kierowników ruchu, to jest rzeczą niewątpliwą i pod tym względem nie myślę się z tow. Mańkowskim sprzeczać. Przykładów chyba nie brak, że przytoczę nasz zatarg partyjny, który przybrał tak poważne rozmiary, lub rozłam w S. D. K. P. i L., który, jak wieść niesie, już oddawna przygotowali swem postępowaniem niepoczytalni przywódcy tej partyi. Kierownicy partyi bywają bardzo często bezwzględni, arbitralni, nie rachujący się z nikim i z niczem, obawiający się kontroli, otaczający się zerami, byle potulnemi i posłusznemi, i w takich wypadkach doprowadzać muszą do konfliktu. Często zdarza się wprost, że wszyscy prawdziwi pracownicy partyjni zwracają się przeciw nim z całym impetem, w obronie bądź to czystości programu, bądź to demokratycznych zasad partyi, bądź to godności partyjnej. Rezultat takiego konfliktu może być dwojaki: albo przy istnieniu demokratycznej ustawy partyjnej, kierownicy są zmuszeni do usunięcia się i ustępują miejsca innym, cieszącym się zaufaniem ogółu, albo, oparci o tak sprytnie obmyślaną ustawę, jakiejby się nie powstydzili Gurland i Kryżanowskij, lekceważą opinię partyjną, zmuszają faktyczną większość do wystąpienia i zacierają ręce z po-

wodu bezustannych secesyj, które pozostawiają im tak pożądaną swobodę działania.

Smutne to fakty — i nie chce się o nich mówić. Ale nie rekrutowanie się kierowników partyi z pośród inteligencyi jest tego przyczyną. Godzą się na to prawie wszyscy uczestnicy dyskusyi w „Placówce“, słusznie stwierdzając, jak to czyni n. p. tow. Mańkowski, że nie zawsze udział robotników w centralnych ciałach kierowniczych rozstrzyga pomyślnie sprawę. Czasem towarzysz-robotnik, stojący u steru, zdaje się zupełnie na swych kolegów, czasem znów wręcz nie stoi na wysokości zadania, gdyż, choćby miał ugruntowane przekonanie i oddanie się sprawie, brak mu jednej rzeczy niezbędnej. Brak mu mianowicie należytego wyrobienia w całokształcie trudnych nieraz do rozwiązania zagadnień partyjnych, gdyż nabyć je można tylko przez poczuwanie się w ciągu długiego szeregu lat do współodpowiedzialności partyjnej, o której tak szeroko i tak na czasie pisze tow. Mańkowski. Wśród bardzo wielu towarzyszów jeszcze po dziś dzień istnieje przekonanie o partyi, jako o czemś, po za nimi stojącej; od partyi wiecznie oni oczekują cudów energii i inicyatywy, nie rozumiejąc tego, że sami powinni inicyatywę dawać, sami powinni mieszać się, choćby natrętnie, do spraw partyjnych, nie spuszczając się na nikogo i nie zrażając się tem, że robotnikowi, bardziej przywykłemu do młota i maszyny, niż do mielenia językiem, czasem trudno się wysłowić. Jeżeli tego nie uczynią, można będzie powiedzieć, że takimi są kierownicy partyi, na jakich ogół towarzyszy swoją biernością sobie zasłużył.

Tow. Rusak utrzymuje wprawdzie, że już trzymanie władzy w rękach inteligentów jest przyczyną złego, ale ostatni ustęp jego artykułu, który brzmi: „Bierzmy wszystko od inteligencyi, co ona nam dać może ze swej wiedzy i nauki, bo czas już wielki, żeby nietylko inteligenci, ale i robotnicy mieli głos i wpływ na sprawy partyjne“ — dowodzi, że uzależnia on udział robotników w ciałach kierowniczych od nabytej wiedzy. Posprzeczałbym się również z tow. Rusakiem, co do twierdzenia, iż w Rosyi jest inaczej, niż u nas. Najwyższe stanowiska partyjne zarówno u s.-r.-ów, jak s.-deków (bolszewików i mieńszewików) zajmowane są przez inteligentów, niekiedy więcej teoretyzujących, niż biorących udział w praktycznej robocie, czem da się objaśnić wielkie zamiłowanie do bardzo „principijalnych“ sporów teoretycznych.

Nie wątpię, że już w bardzo niedalekiej przyszłości ujrzymy robotników w ciałach kierowniczych, gdyż samorzutne dążenie robotników do odbudowywania zrujnowanych w okresie reakcyi organizacyj, jakie się w ostatnich czasach daje zauważyć, budzi we mnie wielkie nadzieje. Ale

drogę do tego widzę nie w określaniu ustawowem procentu robotników, czy też inteligentów w ciałach centralnych i lokalnych, lecz w demokratyzacyi ustawy partyjnej. Gdy robotnicy będą mieli możność prawdziwego wpływu na wybór wszystkich ciał partyjnych od góry do dołu, napewno wybiorą na swego kierownika robotnika tylko w tym wypadku, gdy będzie on odpowiednim do piastowania odpowiedzialnego stanowiska — nie uczynią zaś tego, gdy będzie to stało w sprzeczności z interesem partyi.

Powtarzam: jeśli z naszymi kierownikami mamy tyle kłopotu, to nie dlatego, że są oni inteligentami. Winne tu są w pewnej mierze cechy natury ludzkiej, które sprawiają, że ludzie, obdarzeni instynktem władzy, często nie umieją go hamować, i objąwszy naczelne stanowiska, tak z władzy korzystają, że stają się dla partyi prawdziwą plagą egipską. Oprócz tej przyczyny ogólnej natury, grają często rolę jeszcze czynniki inne. O niektórych z pośród nich wspomniał tow. Kielecki, trafnie podnosząc oderwanie od kraju i przejęcie się atmosferą emigracyjną, lub przystępowanie do ruchu socyalistycznego, bez przejęcia się socyalistycznym światopoglądem, w celu wyzyskania ruchu dla celów jedynie rewolucyjno-narodowych. Do tych przyczyn dodałbym jeszcze jedną. W partyach, nawiedzonych chroniczną chorobą t. zw. „rewolucyjnego militaryzmu“, niepodporządkowanego ideologii proletaryackiej, demokratyzacya partyi jest niesłychanie utrudniona, gdyż przyzwyczajenia koszarowe bardzo łatwo mogą być przenoszone do sfery stosunków partyjnych, co wpływa ujemnie na całokształt spraw organizacyjnych: ogół towarzyszów do poziomu rekrutów sprowadzić się nie da.

Innych środków do uzdrowienia stosunków po za demokratyzacyą partyi nie widzę. Tam, gdzie kierownicy czują swoją zależność od ogółu, muszą dojść do przekonania, że z miną i gestami olimpijczyków im nie do twarzy. Rzecz prosta — nie wynika bynajmniej z mego twierdzenia, aby kierownicy partyi mieli ulegać wszystkim, choćby chwilowym nastrojom, dla utrzymania się przy władzy, przy demokratycznym ustroju partyi. Byłoby to demagogią. Kierownicy powinni mieć jasną myśl polityczną. Jeśli myśl ta jest zgodną z głębiej pojętemi interesami klasy robotniczej, robotnicy będą umieli ocenić, i jeżeli istnieje nawet pewien antagonizm między kierownikami a chwilowym składem pracowników partyjnych, przyczem słuszność jest po stronie kierowników, co może się zdarzyć, bo przecież robotnicy nie są nieomylni, spór nie przybierze nigdy charakteru ostrego, dopóki robotnicy odczuwają, że dany kierownik istotnie w przyszłość klasy robotniczej wierzy, i że nie jest dlań ona biernym materyałem do eksperymentów lub środkiem do celów nieproletaryackich. A robotnicy

odznaczają się ogromną intuicyą i istotną wartość swych kierowników umieją poznać.

Tow. Mańkowski proponuje inny środek: szerzenie jakiegoś „uczuciowego“ socyalizmu (w ten sposób uogólniam jego wywody), gdyż „fakty naukowe będą dostępne dla wszystkich dopiero po rewolucyi zwycięskiej“. Pierwiastek uczuciowy w ruchu socyalistycznym odgrywa oczywiście ogromną rolę, gdyż przejęcie się zasadami socyalizmu naukowego może wprawdzie uczynić człowieka dobrym socyalistą, ale jeszcze nie uczyni go niezłomnym działaczem, ofiarnikiem, gotowym w każdej chwili złożyć głowę w obronie swoich ideałów. A takich ludzi nam trzeba, trzeba więcej, niż kiedykolwiek. Ich krew użyźnia glebę pod przyszły posiew. Ideałem partyjnego działacza będzie dla mnie jednak tylko ten człowiek, której niesie umiłowanej sprawie w ofierze opartą na zdobyczach teoryi wiedzę, oraz serce gorące, którego bieg czasu nie ostudzi.

J. Sawicz.

Przemysł Królestwa Polskiego w cyfrach.

Obliczenie wartości produkcyi przemysłowej Królestwa Polskiego, ujęcie dzisiejszego stanu przemysłu krajowego w szereg cyfr ścisłych, napotyka wiele przeszkód poważnych, częstokroć niedających się usunąć. Główną pod tym względem przyczyną, niekorzystną dla badaczów stosunków gospodarczych i społecznych Królestwa Polskiego, jest brak dokładnych, wiarygodnych urzędowych źródeł statystycznych, brak w wielu razach wogóle źródeł cyfrowych. Bez takich źródeł trudno wyrobić sobie dokładne, odpowiadające faktycznemu stanowi rzeczy, pojęcie czy to o ogólnym charakterze gospodarczym Królestwa, o przewadze produkcyi przemysłowej nad rolniczą, czy to o stosunku liczebnym ludności robotniczej do ogółu ludności Królestwa Polskiego, czy też w końcu o stopniu koncentracyi kapitałów w przemyśle lub o rozlokowaniu poszczególnych działów wytwórczości krajowej.

Stąd też niejednokrotnie próbowano urzędowe materyały statystyczne, nieścisłe i niedokładne, korygować przez zbieranie możliwie najdokładniejszych danych drogą prywatną, lub też za pośrednictwem istniejących w Królestwie instytucyi społecznych i gospodarczych. Z tych samych względów baczną uwagę na zbieranie możliwie ścisłych danych cyrfowych, dotyczących stanu przemysłu Królestwa, zwróciła redakcya, wychodzącego w Warszawie od lat już ośmiu, rocznika: »Przemysł i Handel Królestwa Polskiego«. Dane takie, opracowane za rok 1910, opublikowane zostały w ostatnim roczniku rzeczonego wydawnictwa, pozwalając nam, na ich podstawie, uwydatnić charakterystyczniejsze cechy dzisiejszego stanu przemysłu Królestwa Polskiego.

Przypomnieć sobie przedewszystkiem należy, że szybki rozwój wielkiego przemysłu datuje się od lat stosunkowo niedawnych, od lat trzydziestu. We-

dle danych urzędowych, niedokładnych i niekompletnych, wartość produkcyi przemysłowej Królestwa Polskiego wynosiła w roku 1860 zaledwie 32,1 miliona rubli, robotników zaś ogółem pracowało 74 tysiące. W roku 1871 wartość wytwórczości podniosła się do 86,7 mil. rubli, liczba zaś zatrudnionych w zakładach i przedsiębiorstwach przemysłowych robotników wzrosła znacznie mniej, dosięgając w tym czasie cyfry 77 tysięcy. W szybszem tempie rozwinął się przemysł Królestwa w następnem dziesięcioleciu; w roku bowiem 1880 ogólna wartość produkcyi przeniosła już 170 mil. rubli, a liczba robotników przemysłowych podskoczyła do cyfry 121 tysięcy. Z początkiem zaś bieżącego stulecia wartość produkcyi przemysłowej całego kraju obliczano na pół miliarda rubli, liczbę robotników, zatrudnionych w przemyśle, na niespełna 300 tysięcy.

Aczkolwiek cyfr powyżej przytoczonych za zupełnie dokładne uważać nie można, tem nie mniej dają one przybliżony do prawdy obraz rozwoju przemysłu w Królestwie i oddają cyfrowo ogólny stan jego na początku bieżącego stulecia.

Jeżeli tedy, uwzględniając nieścisłość i niecałkowitość powyższych danych, przyjmiemy je za podstawę do naszych wywodów, wówczas ostatnie dziesięciolecie od roku 1900 do roku 1910 włącznie, uważać należy za okres olbrzymiego rozrostu przemysłu w Królestwie Polskiem. Wedle bowiem danych redakcyi »Przemysłu i Handlu Królestwa Polskiego« ogólna wartość produkcyi przemysłowej całego kraju przeniosła w roku 1910 8 i pół setek milionów rubli, liczba zaś robotników, zatrudnionych w 11 prawie tysiącach zakładów przemysłowych, wynosiła przeszło 400 tysięcy.

Powyżej przytoczone cyfry ryczałtowe wedle głównych działów przemysłu rozpadały się następująco:

Tabl. I.

Dział przemysłu	Liczba zakładów	Wartość produkcyi (w rublach)	Liczba robotników
włóknisty	1.166	341,266.000	150.305
spożywczy	3.032	154,724.000	42.458
metalowy	1.510	110,301.000	62.027
górniczo-hutniczy	479	60,139.000	45.697
konfekcyjny	1.918	47,919.000	25.438
mineralny	520	30,433.000	23.073
chemiczny	264	29,831.000	9.153
prod. zwierzęcych	284	29,378.000	7.034
papier. i poligraficzny . .	672	25,696.000	15.402
drzewny	879	23,215.000	17.259
mieszany	229	7,246.000	3.074
Razem . .	10.953	860,148.000	400.922

Poszczególne, jak to widać, działy przemysłu Królestwa naogół odbiegają od przeciętnej dla całego przemysłu normy, dotyczącej wartości produkcyi i liczby zatrudnionych robotników, przypadających na 1 zakład przemysłowy. Przeciętnie bowiem w Królestwie Polskiem przypada na 1 zakład przemysłowy około 40 robotników i 80 tysięcy rubli wartości produkcyi. Normę tę znacznie przewyższają odpowiednie cyfry dla przemysłu włóknistego, gdzie na 1 zakład przypada około 150 robotników i 320 tysięcy rubli, dalej dla przemysłu górniczo-hutniczego — 100 robotników i 120 tysięcy rubli, przemysłu chemicznego — 45 robotników i 110 tysięcy rubli. Najbardziej do przeciętnej zbliżona jest norma przemysłu metalowego, mianowicie: 40 robotników i 75 tysięcy rubli. Dla pozostałych zaś działów normy są takie: dla przemysłu spożywczego — 14 robotników i 50 tysięcy rubli, konfekcyjnego — 19 robotników i 25 tysięcy rubli, mineralnego — 45 robotników i 60 tysięcy rubli, produktów zwierzęcych — 25 robotników i 105 tysięcy rubli, papierniczego i poligraficznego — 25 robotników i 40 tysięcy rubli, drzewnego — 20 robotników i 23 tysiące rubli, oraz mieszanego — 14 robotników i 32 tysiące rubli.

Cyfry dla poszczególnych działów przemysłu Królestwa powyżej przytoczone dają nam jednocześnie, w ogólnych zarysach, pojęcie o przewadze wielkich przedsiębiorstw nad mniejszemi, o koncentracyi kapitałów w każdym z tych działów. Jako działy wielkoprzemysłowe, na podstawie danych cyfrowych powyższych, uważać trzeba: włóknisty, górniczo-hutniczy, chemiczny, mineralny i metalowy, zaś konfekcyjny i mieszany za drobne, pozostałe za średnie. Dodać przecież trzeba, że we wszystkich, z wyjątkiem działu mieszanego gałęziach przemysłu Królestwa Polskiego znajdują się wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne, zatrudniające większe liczby robotników i produkujące towarów za miliony rubli. Nawet w tak, że tak powiemy, chałupniczym przemyśle, jak konfekcyjny, znajdujemy dzisiaj wielkie warsztaty kapitalistyczne: fabryki obuwia, ubrań i t. p.

Zakłady przemysłowe nie są jednak rozłożone równomiernie na całym obszarze Królestwa. Przeciwnie, $^3/_4$ przeszło zakładów przemysłowych Królestwa Polskiego znajduje się w trzech guberniach: Piotrkowskiej, Warszawskiej i Radomskiej, czyli w części lewobrzeżnej (względem biegu Wisły) Królestwa. Wogóle część ta lewobrzezna jest wysoko przemysłową, podczas gdy prawobrzeżna wybitnie rolniczą; nawet względnie nieliczne zakłady przemysłowe, znajdujące się w prawobrzeżnej części Królestwa, należą do tych działów przemysłu, które znajdują się w bliskiem pokrewieństwie z rolnictwem, np.: krochmalnie, gorzelnie, młyny, cukrownie i t. p. Rozłożenie zakładów przemysłowych Królestwa Polskiego, wedle poszczególnych gubernij, przedstawia tabela II.

Dokonane przez redakcyę »Przemysłu i Handlu Królestwa Polskiego« obliczenia zarówno liczby zakładów przemysłowych i zatrudnionych w nich robotników, oraz wartości produkcyi tychże zakładów, nie są zupełnie dokładne i nie wyczerpują całego życia przemysłowego Królestwa. Brak w nich bowiem danych, dotyczących przemysłu budowlanego, brak cyfr, przedstawiających przemysł komunikacyjny: lądowy i wodny, przytem dane dla objętych nawet obliczeniem działów przemysłu muszą mieć pewne, nawet duże braki, ze względu na prywatny charakter zbierania odpowiednich danych. Stąd też,

Tabl. II.

Gubernia	Liczba zakładów	Wartość produkcyi (w rublach)	Liczba robotników
Piotrkowska	1.975	429,299.000	207.820
Warszawska	5.006	289,445.000	116.406
Radomska	608	31,860.000	18.560
Kaliska	534	29,523.000	16.890
Kielecka	294	11,576.000	8.955
Lubelska	989	36,533.900	15.529
Płocka	623	12.011.000	6.307
Siedlecka	397	7,925.000	4.451
Suwalska	237	6,939.000	3.688
Łomżyńska	290	5,037.000	2.316
Razem	10.953	860,148.000	400.922

chcąc otrzymać w przybliżeniu wartość istotną produkcyi przemysłowej Królestwa Polskiego, oraz ustalić najbardziej do prawdy zbliżoną liczbę robotników przemysłowych, należałoby powiększyć o 20—25% cyfry ryczałtowe, otrzymane przez redakcyę rzeczonego rocznika. Wówczas otrzymalibyśmy wartość produkcyi przemysłowej Królestwa w cyfrze 1 miliarda rubli (okrągło), liczbę zaś robotników, zatrudnionych w zakładach przemysłowych, dałoby się określić na 500 tysięcy.

Stabilis.

Sprawozdania.

Henry Mayers Hyndman. The record of an adventurous life. (Wspomnienia awanturniczego życia). Londyn 1911. 450 str.

Hyndman należy do nielicznych już dziś działaczy, którzy stali u kolebki współczesnego ruchu socyalistycznego w Anglii i których życie związane jest z historyą tego ruchu. Mimo to pamiętniki Hyndmana nie są tylko historyą socyalizmu w Anglii, jak n. p. pamiętniki Bebla są historyą rozwoju ruchu socyalistycznego w Niemczech, tak że z poza niej nie widać zupełnie osoby Bebla, — jego walki i cierpień osobistych, osobistych radości i tryumfów. Z książki Hyndmana, ze wspomnień jego i opowieści wygląda przedewszystkiem Hyndman sam, jako człowiek pełen życia i temperamentu, borykający się o stanowisko w społeczeństwie, obywatel świata, który zwiedził wszystkie jego części, pobudzany czy to interesem materyalnym, czy intelektualnym — poznał liczne społeczeń-

stwa na rozmaitych stopniach cywilizacyi, — wszędzie pracował i wszędzie usiłował wycisnąć piętno swych ideałów społecznych i politycznych.

Kreśląc „ludzi i rzeczy“, których widział taką moc, z którymi stykał się bądź w przyjaźni i pracy, bądź ścierał się w walce, Hyndman z zadowoleniem swój udział w tych „awanturach“ zaznacza, to podnosząc swoje zasługi, to odpierając zarzuty lub prostując błędy.

A jednak nie zarozumiałość przebija z kart tego obszernego tomu*), lecz nadzwyczajna żywość wspomnień i intensywność osobistego zainteresowania w tym kawale historyi, który kreśli. Jeszcze żywa, gorąca krew tętni w ludziach i zdarzeniach, które przewijają się przed naszemi oczyma, i młodzieńczy temperament widoczny w tym starcu siedmdziesięcioletnim. Toteż choćby czytelnik o niejednej sprawie inne miał zdanie, przecież z przyjemnością czyta pamiętnik „awanturniczego życia“ wybitnego socyalisty angielskiego.

*

* *

Swój temperament rewolucyjny odziedziczył Hyndman po przodkach protestanckich, którzy w 16. czy w 17. wieku osiedlili się byli w południowej Irlandyi, gdzie pozostawali w nieustannej walce z katolickiem otoczeniem, biorąc udział we wszystkich powstaniach protestanckich. W dziadku naszego towarzysza odżyła natura koczownicza przodków; opuścił Irlandyę i udał się do Indyj zachodnich, gdzie spekulacyą gruntową, wszczętą w chwili, gdy między Ameryką a Anglią stanąć miał pokój, doszedł do królewskiej fortuny. Resztkami wielkich posiadłości, nabytych wówczas przez dziadka, administrował jeszcze Hyndman i sprzedał ostatnią ich część w imieniu swego ojca.

Ten ostatni był zupełnem przeciwieństwem swego ojca, a dziadka Hyndmana. Pobożny konserwatysta, bez inicyatywy i przedsiębiorczości, należał do sekty Simeonitów i pozostawił na rzecz kościołów 150.000 f. szt.!

Rósł też H., urodzony w Londynie r. 1842, w atmosferze modłów i hypokryzyi angielskiej, wśród braci i sióstr nabożnisiów; lecz od najwcześniejszego wieku rozwijał się w nim duch oporu przeciw praktykom religijnym. Nawet jego matka, kobieta nadzwyczaj wykształcona, rozpaczała, że trudno było malca nakłonić do modlitwy. Jemu zaś modlitwa „nie sprawiała przyjemności“, a H. już wówczas nie mógł pogodzić się z poglądem, by „obcowanie z Bogiem było czemś więcej, niż dogodzeniem osobistemu uczuciu“.

Utraciwszy matkę w 6-ym roku życia, H. oddany został ówczesnym angielskim zwyczajem na naukę prywatną do pastora i potem już całą naukę przeduniwersytecką pobierał w domach prywatnych. Z nadzwyczajnym humorem, ale i serdecznością kreśli H. domy pastorów, w których przebywał, atmosferę otoczenia, szczególnie zaś postaci swoich nauczycieli, dając zarazem owiany bezpośredniością przeżycia obraz stosunków angielskich.

Ukończywszy w ten sposób nauki początkowe i średnie, H. udaje się w podróż nad Ren, w czasie której, ponieważ trwała dłuższy czas, nauczył się języka niemieckiego, poczem wstąpił na uniwersytet w Cambridge.

Z czasów przeduniwersyteckich utkwiły mu w pamięci wybory w Man-

---

*) Hyndman doprowadza pamiętnik swój tylko do międzynarodowego kongresu z r. 1889, przyrzekając dalszy tom w najbliższym czasie.

czesterze, gdzie kandydował Jones, przywódca Czartystów, przeciw dwom kandydatom kapitalistycznym. Wtedy H. nie rozumiał jeszcze przekleństw, jakie robotnicy miotali na wolnohandlowców za zdradę, a też na własną klasę za głupotę, gdy Jones padł „głosami robotników“, którzy, jak to, niestety, dziś jeszcze często się dzieje, mieli dla Jonesa entuzyazm, a kartki wyborcze oddali wrogowi.

Uzyskawszy stopień uniwersytecki, H. przybywa do Londynu, wstępuje do klubu uniwersyteckiego i do palestry, lecz bardziej, niż karyerze prawniczej, nie godząc się z myślą, by „suszenie sobie mózgu nad cudzą własnością“ mogło być szczeblem do sławy grodu, oddaje się lekturze, przeważnie zaś sportom, mając bowiem dostateczne środki do życia, niezbyt poważnie traktuje pracę.

W r. 1866 jedzie do Włoch celem poznania i wyuczenia się języka. W czasie podróży, w której „odkrywa“, że jednak posiadł rozległą znajomość dziejów starożytnego Rzymu i Włoch, dochodzi go wiadomość o wybuchu wojny między Austryą a Prusami i Włochami. H. porzuca „przyjemny letarg“ turysty i udaje się na plac boju, jako korespondent świeżo założonej „Pall Mall Gazette“. Z armią Garibaldiego udaje się do Tyrolu i idąc z nią, znalazł się wśród cudnej sceneryi kraju nad jeziorem Garda. Tu „odznaczył“ się sprytem, z jakim zdobył prowiant dla „armii korespondentów“, którzy też w nagrodę za to jednogłośnie obwołali go swym „szefem-furażerem“, co niemało przysparzało mu kłopotów...

H. z niewielkim zachwytem wyraża się o armii ochotników, która towarzyszyła Garibaldiemu, choć nie odmawia jej entuzyazmu i odwagi. Ale była zbyt wielką na nagłe i szybkie ruchy i ataki, a zbyt słabo zorganizowaną na regularne operacye na większą skalę. Tylko jeden pułk pod dowództwem syna Garibaldiego Menottiego, był karny. H. dziś jeszcze nie zdaje sobie sprawy, jak on z kolegami wyszli cali z tego pomyślnego zresztą marszu, albowiem Austryacy cofali się, w miarę jak Garibaldyjczycy posuwali się naprzód — tyle było niebezpieczeństw. H. był świadkiem potyczki pod Monte Suello, gdzie koledzy jego, korespondenci, brali czynny udział, narażając się na ogień korpusu strzelców cesarskich. W bitwie tej Garibaldi otrzymał ranę w nogę. Wrażenie tej krwawej bitwy pozostało Hyndmanowi na całe życie. „Może istnieje coś, co podnosi i podnieca walczących, ale dla widza niema nic okropniejszego. Niesłychana odwaga i zimna krew, którą okazywała kawalerya Piemontczyków i wielu Garibaldyjczyków, nie były w stanie uspokoić uczuć, które budził widok trupów i rannych, okaleczałych, krwawiących z licznych ran żołnierzy. Na widok takiej rzezi największe nawet zwycięstwo nie mogło budzić entuzyazmu“. Lecz to wszystko było jeszcze niczem w porównaniu z widokiem szpitala, w którym Hyndman był czynny po bitwie pod Bezeccą. Wielki kościół zmieniono na szpital, w którym 800—1000 rannych leżało obok siebie na słomie, bez dostatecznej pomocy lekarskiej, bez najelementarniejszych zarządzeń sanitarnych. Młody uczony rosyjski, który wkrótce miał wsławić się w świecie naukowym, Kowalewskij, opatrywał rannych i leczył ich z niesłychanem poświęceniem, mimo, że przedtem nie miał żadnej praktyki. Zaprosił on do pomocy H., który jeszcze mniej miał pojęcia o obowiązkach „Siostry miłosierdzia“, zato paniczny strach przed krwią ludzką, zdruzgotanemi członkami ciała i tyfusem, który szerzył się gwałtownie. H. nigdy w życiu podobnych nie zaznał wstrząśnień, jak wówczas, i na całe życie powziął przekonanie, że chyba tylko najwyższa i najświętsza sprawa

ludzkości może usprawiedliwić naród, który synów swoich naraża na tak straszne cierpienia i kalectwa.

W dni parę potem H. poznał Garibaldiego. Generał leżał w wiejskiej karczmie. Był śmiertelnie blady a twarz jego wyrażała obawę nie o siebie, lecz o armię kochaną. H. nie opowiada, o czem mówił z Garibaldim, lecz przypomina sobie, jak był zachwycony jego przyjęciem, pełnem uprzejmości, i szlachetną, bez afektacyi prostotą. Zrozumiał, dlaczego otaczano go tak entuzyastyczną czułością, darzono ufnością nawet najbardziej beznadziejne jego przedsięwzięcia. Marsz Garibaldiego był nieznacznym tylko, choć malowniczym epizodem kampanii przeciw Austryi. Klęska, którą ponieśli Włosi, nie wypływała tylko z nierówności sił, lecz i z tego, że generalicya włoska ściągnęła armię austryacką na własny teren, odcinając sobie amunicyę i rozdzielając oba skrzydła swojej armii, tak że nie mogły się z sobą komunikować. Uczyniło to klęskę pod Custozzą większą, aniżeli powinna była być. Ale tym atakiem Włochy odciągnęły część armii, którą Austrya byłaby mogła wysłać przeciw Prusom, co sprawiło, że w pokoju zawartym, Włochy, mimo klęski, otrzymały Wenecyę. H. opowiada, z jaką niechęcią załoga austryacka opuszczała Wenecyę, ze smutkiem żegnając nietylko to piękne miasto, ale i nadzwyczaj sympatycznych mieszkańców. Wenecyanie zaś „okrutnie żałowali bandy“ austryackiej, która tak pięknie grała; cały entuzyazm narodowego tryumfu nie był w stanie wynagrodzić im tej straty.

Po wyjściu załogi austryackiej czekano jeszcze tygodniami na przybycie włoskiej. Nareszcie przybyły władze włoskie, nadciągając w pięknie i fantastycznie udekorowanych gondolach, długą procesyą. Był to cudny obraz na tle przepysznego otoczenia pałaców nad kanałem Grande i malowniczego Ponto di Rialto. H. z poetą Meredithem przypatrywali się tej scenie, która głębokie na nich zrobiła wrażenie.

Niezadługo potem H. opuszcza Włochy i wraca do Anglii, wraca jako radykał, lecz i teraz jeszcze niezbyt poważnie spogląda na życie i trwoni czas na sportach i grach. Raz tylko w tym czasie daje się porwać fali litości, która od czasu do czasu ogarnia klasy posiadające na widok wzmożonej nędzy w dzielnicach ubogich. Wtedy to wszystko, co się szanuje, pielgrzymuje do tych dzielnic z sercami i kieszeniami pełnemi filantropii. Niejedno małżeństwo klei się podczas takich wspólnych wycieczek litościwych damulek i złotych młodzieniaszków w krainę nędzy, głodu, rozpaczy i zbrodni, poczem fala szlachetności opada, by znowu kiedyś wezbrać po latach. Kto wie, czy widok nieprzeczuwanej wprost przedtem nędzy i okropności gorszych, niż spotkał w czasie wojny, nie przyczynił się do tego, że H. później stał się socyalistą. Na razie zdawało mu się tylko, że wystarczy powszechne prawo wyborcze i powszechna oświata, by wymieść nędzę i stosunki te zmienić.

W tym czasie H. poznaje Mazziniego. Wrażenie, jakie zrobił na nim ten świetny organizator i inicyator w walce o wolność i niepodległość Włoch, było ogromne. Postać drobna i niepozorna, a i twarz cała znikała wobec niebywałej, fascynującej potęgi, wielkich, ciemnych i głębokich oczu. Tej niesłychanej sile oczu, w której drzemać się zdawał gorący wulkan entuzyazmu, nikt oprzeć się nie mógł. Mazzini mówił spokojnie, tylko w wielkiem podnieceniu robił gesty, choć umiarkowane bardzo jak na Włocha. Wobec ludzi zachowywał głęboką prostotę i ani śladu nie było w nim aspiracyi dyktatorskich. Pozbawiony zupełnie

zarozumiałości, miał jednak wysokie poczucie swej godności i świadomość, że reprezentuje świętą i wielką sprawę. Ten skromny w swem otoczeniu człowiek umiał być dumnym i wyniosłym wobec wysłańców włoskiego rządu. Wtedy Mazzini „przybierał postawę autokratycznego reprezentanta jakiegoś społeczno-politycznego arcykapłaństwa i traktował ludzi, którzy w oczach świata uchodzili za wiele wyższych od niego, z dumą i wyniosłością papieskiego majordomusa lub kardynała".

Mazzini zapoznał H. z Saffim, trzecim mężem sławnego tryumwiratu z czasów oblężenia Rzymu w r. 1848, i w dyskusyach z nimi, oraz z ich wskazówek H. ogromnie wiele dowiedział się o przebiegu rewolucyi włoskiej, o rewolucyi zaś węgierskiej wiele dowiedział się od Kossutha. Mimo tylu cennych i bezpośrednich wiadomości nie napisał większej rzeczy o rewolucyach tych, chociaż wciąż nosił się z zamiarem skreślenia tego, co wiedział, tak, że mamy tylko jego rozprawkę o Cavourze.

W r. 1868 H. bierze udział w agitacyi wyborczej za przyjacielem swoim Boyd Kinnearem, który kandydował w Fifeshire jako skrajny radykał przeciw jakiemuś konserwatyście. Mimo programu swego i osobistych zalet, Kinnear padł, co zwróciło uwagę H. na niesprawiedliwy system wyborczy, który czynił zawisłym rezultat wyborów od czynników, nic nie mających wspólnego z interesem ludu. H. jednak nie we wszystkiem szedł z radykałami. Oto wbrew ich i liberałów opinii oświadczył się za federacyą kolonij demokratycznych z krajem macierzystym, które to stanowisko zachowuje po dziś dzień.

W r. 1869 H. ma już dość londyńskiego życia i udaje się w dłuższą podróż do Australii przez kolonie amerykańskie i Stany Zjednoczone. Po 104-dniowej, pełnej niezwykłych wrażeń podróży, przybywa do Melburne. Nigdzie dotychczas nie widział tak żywego udziału wszystkich klas społecznych w życiu politycznem, społecznem, artystycznem, literackiem, dziennikarskiem i t. d.; nigdy tyle krasomóstwa nie spotkał, co tu. Ten żywy ruch porywa go z szaloną mocą. Zrazu rzuca się w wir zabaw, odbywa niebezpieczne polowania, lecz wkrótce i głębia życia zaczyna go zajmować. Zaczyna się przypatrywać ustrojowi społecznemu na „nowej ziemi", zgłębiać wypadki i wmyśliwać się w teorye społeczne. Oto ściera się ze „skwaterami", pośrednikami, którzy, „niebezpieczniejsi od bandytów i włamywaczy", pod opieką prawa nabywali ogromne obszary gruntu po bajecznie niskich cenach, co czyniło ich panami całego obszaru rolnego. W ten sposób „wykłuwali oczy" całej okolicy. Ziemię zamieniali w obszerne pastwiska dla bydła, a chłop, rolnik szedł z torbami. H. w dyskusyach i na zebraniach towarzyskich, gdzie ci panowie zażywali największego szacunku, wykazywał szkodliwość tego systemu, po imieniu nazywając „pracę" tych ludzi.

H. oddawał się też pracy publicystycznej i jeden z dzienników, zaprosiwszy go na współpracownika, powierza mu dział wychowania publicznego. W szeregu artykułów rozpoczyna tedy H. kampanię za przymusem szkolnym, przyczem żąda nauki świeckiej i bezpłatnej, począwszy od szkół elementarnych, a skończywszy na uniwersytecie. W kampanii tej, pełnej temperamentu rozprawia się z duchowieństwem. Stwierdza też z zadowoleniem, że tą swoją walką w dużej mierze przyczynił się do świetnego stanu szkolnictwa i oświaty w Wiktoryi, jakiego Anglia po dziś dzień jeszcze nie osiągnęła.

Lecz awanturnicza natura ciągnęła H. do dalszych podróży; udaje się więc

w drogę po całej Australii, ale wrażenia jego już są mniej podniosłe, tak, że wynosi przekonanie, iż emigracya jest nietylko upustem krwi dla kraju, tracącego kwiat ludności, lecz także nieszczęściem dla emigrujących.

Wśród ogromnych niebezpieczeństw, które towarzyszowi naszemu niejednokrotnie groziły utratą życia, zwiedza on wyspy Fidżi. Stwierdza też z satysfakcyą, że on, niewierzący ateista, w obliczu śmierci, która tyle razy zaglądała mu w oczy, odznaczał się większą odwagą i spokojem, niżeli ci wierzący, którzy śmierć uważają tylko za próg do życia wiecznego.

Z szalonem oburzeniem, jak gdyby szło o przeżycia wczorajsze, gromi rządy garstki białych nad krajowcami, garstki, nie przewyższającej tysiąca dusz, mimo, że wyspy te miały niby swego króla. Zwierzęce znęcanie się, bicie, batożenie za lada drobnostkę: upicie się lub nieposłuszeństwo, gwałcenie kobiet i dzieci, oto wyraz „kulturalnej misyi" białych. Nie odbiegało to wiele od ludożerstwa, które jeszcze tam panowało.

H. oburzeniem kipi, kreśląc wypadki, w których tacy szanowni obywatele, co w domu w Anglii muchy by nie zabili, w Fidżi, zdala od kontroli świata cywilizowanego, dopuszczali się najwstrętniejszych i najcyniczniejszych gwałtów, za co o mało „dzicy" ich nie rozdarli.

W lutym r. 1871 Hyndman wraca do Londynu. Było to już po wojnie francusko-niemieckiej, wojska niemieckie otaczały jeszcze Paryż, który stał w przededniu Komuny. Hydman, który znał Paryż jeszcze w r. 1858 i zachwycony był jego „indywidualnością", strasznie bolał nad upadkiem tego niezrównanego miasta. Lecz nie miał nawet czasu oburzać się na „głupią i idyotyczną" politykę rządu angielskiego, która pomogła Hohenzollernom do zgnębienia Francyi i objęcia dyktatury nad Europą, gdyż wkrótce straszliwa tragedya Komuny inne wysunęła zagadnienia.

Powstanie odrazu było beznadziejne. Nawet gdyby lepsza organizacya i dzielniejsza strategia zdolną była rozpędzić Wersalczyków, to przecież armia niemiecka była jeszcze na miejscu i reakcya byłaby miała czas do skupienia sił i ponowienia ataku. Mimo to pozostaje faktem, że epokę w dziejach walki emancypacyjnej „czwartego stanu" stanowi to stwierdzenie przez robotników swego prawa do rządów i deklaracya solidarności robotników całego świata. H. nie był jeszcze podówczas socyalistą, ale z zapartym tchem śledził bieg wypadków i całym żarem swych sympatyi stał po stronie beznadziejnie walczących, razem z „pozytywistami" broniąc Komuny wobec reszty burżuazyi.

H. wkrótce mógł poznać wielu komunarów, którzy przybyli do Londynu i zdumiewał się, jak można było ludzi tych pomawiać o krwiożerczość. Świadkowie zaś naoczni, bynajmniej nie przyjaciele Komuny, opowiadali mu, jaki wzorowy porządek panował w paryskiej administracyi w czasach Komuny; ile reform zbawiennych wprowadzono i jak skromnie żyli administratorowie, skrupulatnie obchodząc się z groszem publicznym. Już podówczas gniewała H. burżuazyjna etyka komunarów, którzy, mając w Banku francuskim setki milionów, nie tknęli ich. W ten sposób przyspieszyli swój upadek.

Wypadki te coraz bardziej radykalizują H. Od r. 1871 pracuje w dziennikarstwie, jako współpracownik „Pall Mall Gazette". W tym czasie zabiera się do gruntownych studyów nad ekonomicznem i politycznem położeniem Indyj wschodnich. Choć radykał i demokrata, H. żywił wówczas przekonanie, że

rządy brytyjskie były dla Indyj dobrodziejstwem; że stłumienie powstania było słusznem, jakkolwiek przykrem było, że Anglicy splamili się przy tem zbrodniami, i że obowiązkiem Anglii było bronić Indyj przed rosyjską inwazyą. Wychowany w atmosferze imperyalizmu — przodkowie jego przez całe pokolenia zajmowali wysokie posady w dawnej Kompanii wschodnio-indyjskiej, — dzielił poglądy bogatej burżuazyi na kwestyę indyjską. Lecz H. poznaje Tomasza Palmera, syna szefa wielkiego banku, a ten ułatwia mu poznanie stosunków indyjskich oraz zachowania się rządu angielskiego względem Hindusów. Z ogromnego, przez Palmera dostarczonego mu materyału, ku wielkiemu swemu zdumieniu i głębokiemu zasmuceniu dowiaduje się, że wśród rolniczej ludności Indyj panuje ogromna nędza, która wciąż wzrasta. Statystyka głodów potwierdza mu to i H. zaczyna wątpić o zbawienności angielskiej opieki w Indyach. Okres 1876—1879 to znowu lata głodu i H. decyduje się ogłosić rezultaty swoich studyów w „Pall Mall" w szeregu artykułów.

Wrażenie tych artykułów było kolosalne. Nikt wierzyć nie chciał, że H. reprodukował tylko dokumenty oficyalne. Obradowała wtedy komisya Izby gmin z Fawcettem, profesorem ekonomii politycznej, jako przewodniczącym i ten zwrócił się do H. z prośbą, by zechciał komisyi udzielić wiadomości, uważając, że on posiada głębsze i rozleglejsze w tej sprawie, niż świadkowie naoczni.

W r. 1878 H. ogłasza w „Nineteenth Century" dłuższą rozprawę p. t. „Bankructwo Indyj". Rozprawa ta wywołała niebywały hałas. Została przetłómaczona nietylko na wszystkie prawie europejskie języki, ale na kilka narzeczy indyjskich i wywołała żywą dyskusyę. H. domagał się nadania Indyom autonomii politycznej i zaniechania polityki ekonomicznej, polegającej na wyciąganiu z tych krajów produktu bez ekwiwalentu. Hyndman uważał nadto samorządne Indye za wał przeciw „żółtemu niebezpieczeństwu", które, po podróżach w Australii i Ameryce, uznawał za bardzo groźne.

H. liczył na to, że partye burżuazyjne dadzą się przekonać, jak szkodliwą była dotychczasowa polityka angielska względem Indyj. Niestety, rachuby te zawiodły. Po zwycięstwie liberałów w r. 1880, zniesione zostały nawet te reformy, które konserwatyści już byli wprowadzili i za sprawą Gladstona i Hartingtona odżyły stare nadużycia. Od tego czasu obie partye burżuazyjne podtrzymują system, wyciągający z Indyj 300 milionów f. szt. rocznie, na korzyść klas zamożnych Zjednoczonego królestwa, lecz należy stwierdzić, że rządy liberałów większem są nieszczęściem dla kolonii, aniżeli ster w rękach konserwatystów.

To smutne rozczarowanie H. głęboko odczuł, podcięło ono jego entuzyazm, jakkolwiek dla sprawy Hindusów pracować nie przestał. H. bardzo niekorzystnie wyraża się o Gladstonie i dziwi się kolosalnemu wpływowi, jaki miał w Izbie gmin i czci, jakiej zażywał do tego stopnia, że krytyka jego mów lub pism, lub atakowanie jego polityki uważano za świętokradztwo. Gladstone sam o sobie niemniej wysokiego był mniemania i uważał siebie za „narzędzie boskie". Prawda, odznaczał się nadzwyczajnym darem wymowy i rozległe posiadał, choć powierzchowne wykształcenie, ale jego „inteligencya polityczna" była bardzo nizka.

Klęska konserwatystów nie tylko podkopała nadzieję Hyndmana, że polityka jego znajdzie zastosowanie, lecz pozbawiła go równocześnie współpracownictwa w „Pall Mall", która przeszła w ręce innego wydawcy. Wszystkie te

przejścia sprowadzają przewrót w jego przekonaniach, dowiódłszy beznadziejności polityki tak liberalnej, jak konserwatywnej: Hyndman staje się jawnym socyalistą. Zrazu jego nienawiść do kapitalizmu, którego zgubne skutki widział w Europie, Australii i Ameryce, jest natury czysto uczuciowej. Upadek Czartyzmu, klęska Komuny, upadek Międzynarodówki, nasuwały mu raczej myśl, że panowanie jednej klasy nad drugą jest nieuniknione, że niemasz możności dla klas uciskanych wydobycia się z pod jarzma niewoli.

Razu pewnego H. dostaje od Butler Johnsona, z którym żył w przyjaźni, francuski egzemplarz „Kapitału“ Marksa. Hyndman właśnie wybierał się w drogę do Ameryki i zabrał z sobą książkę, jako lekturę w podróży. Książka wstrząsa nim do głębi i jakkolwiek po pierwszem przeczytaniu nie był w stanie dotrzeć do głębi teoryi tam rozwiniętej, H. dochodzi do przekonania, „że społeczeństwo kapitalistyczne z nieuchronną konsekwencyą zdąża ku socyalizmowi i że siłą motorową w tym rozwoju jest demokracya przemysłowa“. Teraz innemi oczyma spogląda na rozwój ekonomiczny Ameryki. Tu właśnie srogo dawały się odczuwać skutki wielkiego przemysłu. Antagonizm klasowy, ucisk robotników, kryzys i bezrobocie. H. na własne oczy widział, jak wielkie ośrodki przemysłowe pod wpływem kryzysu w r. 1880 zmieniały się na cmentarzyska; tu w Ameryce, w wielkiej republice demokratycznej, katastrofa jeszcze silniej odczuwać się dawała, niż w starych monarchiach Europy. Mimo zajęć i interesów H. zaczyna pilnie studyować te zjawiska. Stany Zjednoczone w szybkiem tempie rozwijały się w państwo plutokratyczne bez skrupułów... W tym samym czasie ogromnego rozgłosu zażywała książka George'a: „Postęp i ubóstwo“. Hyndman pochłania jej kartki z zapałem, studyuje kwestyę irlandzką, ruch za Homerulem, samorządem Irladyi, i dochodzi do wniosku, że kraj jego i cały świat cywilizowany stoją w przededniu olbrzymich walk klasowych, które wybuchnąć muszą z niesłychaną siłą. Poglądem tym H. dzieli się z redaktorem „Pall Mall“, Morleyem, który list ten publikuje.

Po powrocie H. do Londynu, w grupie przyjaciół H. z początkiem r. 1880 pojawia się myśl skupienia w partyi politycznej wszystkich, którzy seryo zwalczać chcieli zdradę zasad demokratycznych ze strony Gladstona. Szło tylko o to, na jakich podstawach oprzeć nową partyę. Socyalizm prawie że nie istniał wówczas w Anglii. Była garstka socyalistów, którzy o sobie wzajemnie nie wiedzieli. Czartyzm był zapomniany. Poza drobną grupą ludzi, wszyscy uważali socyalistów i komunardów za bandę podpalaczy i bandytów.

Nie było też literatury, na którą można było się powołać.

W r. 1881 Hyndman zamieszcza w „Nineteenth Century“ artykuł p. t.: „Jutrznia epoki rewolucyjnej“, — niejako balon próbny, w którym proponuje założenie niezawisłej partyi ludowo-demokratycznej. Wślad zatem zwołuje kilka zebrań, na których między innymi jawią się: znany pozytywista, profesor Beesly, Helena Taylor, pasierbica Johna Stuarta Milla, Herbert Burrows, Jack Williams, Butler Johnson i w. i. Prócz dwóch ostatnich nikt nie domyślał się, że szło właściwie o założenie partyi socyalistycznej. Wkrótce odbyła się też konferencya, na której jako delegaci byli obecni przedstawiciele klubów radykalnych i irlandzkich. Na konferencyi tej Hyndman rozwinął program polityczny, w imię którego partya miała wystąpić, dając pełny wyraz swoim poglądom socyalistycznym, które wyłożył następnie w książeczce p. t. „Anglia dla wszystkich“. Żąda on

w myśl tych poglądów „Anglii, która, wyrzekłszy się imperyalizmu, zorganizowała by się w domu, stając na czele narodów w walce o wolność narodową, demokracyę i socyalizm“. Konferencya ta dała początek organizacyi socyalistycznej, która mimo walk i wewnętrznych wstrząśnień, przetrwała po dzień dzisiejszy. Natomiast książka Hyndmana, która pierwsza w Anglii, wykłada socyalizm nowoczesny, nie doznała dobrego przyjęcia i przyniosła mu tysiączne przykrości. Wielu z przyjaciół jego, poznawszy, że H. chce socyalizmu, opuściło komitet. Najgorszem jednak było to, że książeczka spowodowała rozłam Hyndmana z Marksem, który trwał długo i zakończył się na kilka miesięcy przed śmiercią ostatniego. Smutne to zajście H. przypisuje Engelsowi, którego H. uważał wogóle za niedobrego człowieka i złego ducha Marksa, a który przedstawiał Hyndmana, jako karyerowicza, plagiatora, człowieka posługującego się organizacyą dla celów osobistych.

Młoda organizacya, „Federacya demokratyczna“, zrazu zajęła się kwestyą irlandzką, wyznaczając komisyę dla jej zbadania; dalej kwestyą rolną. H. jeździł do Dublina, pośredniczyć między irlandzką a angielską ligą rolną, brał udział w ruchu i agitacyi „przeciw rencie“ (no rent agitation). W swej akcyi H. raz tylko przypadkowo spotkał się z Parnellem, który jednak nie zrobił na nim zbyt korzystnego wrażenia. Przypominając sobie te czasy, H. twierdzi, że bynajmniej nie były tak rewolucyjnemi, jak się wydawało. Inaczej trudno byłoby pojąć, by rząd liberalny z Gladstonem na czele, w skład którego wchodził tak skrajny radykał jakim wówczas był Chamberlain, Charles Dilke, Fawcett i inni, mający za sobą silną partyę radykalną, mógł dać się użyć do obalenia w Irlandyi najprymitywniejszych swobód zapomocą najbrutalniejszej siły wojska i policyi i to w interesie obszarników, których postępowania pełnego gwałtu, ten sam rząd nie był w stanie powstrzymać. Niemniej te czasy były burzliwe — fenianie irlandzccy rozwijali czynną działalność.

Przyczyniało się to do radykalizowania ludzi i torowało drogę propagandzie socyalistycznej w „Federacyi demokratycznej“. Pomocnem tu było nietylko postępowanie partyi liberalnej, ale i tchórzostwo radykałów. Do „Federacyi“ przystąpili ludzie tacy, jak Carpenter, Bernard Shaw, małżonkowie Bland, Quelch....

W r. 1882 Federacya urządza szereg odczytów na temat „środki praktyczne na najważniejsze niedomagania“, które zyskują jej ogromny rozgłos i masę nowych członków. Tak n. p. H. rozpoczął ogromną akcyę za karmieniem dzieci w szkołach, wskazując na przykład Paryża, co Federacyę czyni nadzwyczaj popularną. Wprawdzie zbyt radykalne tendencye socyalistyczne odstraszają wielu inteligentów, którzy występują i łączą się w „Fabian Society“, ale Federacya przypływem nowych ludzi wkrótce stratę tę pokrywa....

Na jesieni r. 1883 H. wydaje: „Podstawy historyczne socyalizmu“, gdzie w myśl żądania Krapotkina, z którym także pozostaje w przyjaźni, „chce pokazać, jak historyę pisać należy nie z punktu widzenia klas rządzących, lecz z punktu widzenia mas“. W r. 1884 razem z Wiliamem Morrisem wydaje „Zasady socyalizmu“, które doczekały się wielkiego rozpowszechnienia i rozgłosu.

Nadzwyczajną wrzawę wywołało też opublikowanie rezultatu ankiety Federacyi, która wykazała, że 25% robotników w Londynie pobiera płacę, nie

mogącą zabezpieczyć minimum potrzeb rodziny robotniczej. Pisma burżuazyjne utrzymywały, że socyaliści fałszują daty i nie innego zdania był Charles Booth, niedawno zmarły „generał" Armii zbawienia, który wywody tej ankiety nazwał „podburzającemi". Ale Booth podjął później ankietę na własną rękę, która dała mu jeszcze straszniejszy obraz nędzy robotniczej w Londynie. W myśl jej rezultatów 30% robotników w Londynie żyło poniżej minimum egzystencyi i gdy ogłoszona przezeń ankieta zyskała mu rozgłos nietylko w kraju, ale i zagranicą, nie uważał nawet za stosowne przyznać, że badaczom socyalistycznym wyrządził krzywdę swojem podejrzeniem.

Federacya wkrótce przystąpiła do założenia pisma „Justice", które walczyło z ogromnemi trudnościami i trzymało się tylko ofiarnością i poświęceniem kilku towarzyszy. Nietylko ich pieniędzmi stał organ, ale Hyndman, William Morris i kilku innych nie wstydzili się kolportować go na rogach ulic.

A bitny był ten organ naprawdę, zamieszczający prace takich ludzi, jak Morris, Bax, Champion, Quelch, Thorne, Burns, Williams, Eleonora Marx, Annie Besant, Edward Aveling, Herbert Burrows i in. Nikt nie przeczuwał wtedy, powiada Hyndman, że Burns zdradzi zasady partyi i socyalizmu, i ogromnie cieszono się z tego nabytku. Wszyscy inteligenci zajęli się jego kształceniem, a Burns „pojętny" był i wkrótce rozwinął niesłychaną zdolność krasomówczą, choć powierzchowny był i nie miał zamiaru zgłębiać teoryi i zjawisk. Jednem słowem ruch i podniecenie na całej linii, zdawało się, że partya ma przyszłość ugruntowaną i z zawrotną szybkością idzie naprzód. Naraz, jakby grom z jasnego nieba, spadł na Federacyę rozłam. Hyndman twierdzi, że tylko skutkiem jakiejś intrygi babskiej, poróżniwszy się z Hyndmanem, wystąpił z niej William Morris, pociągając za sobą Baxa i Avelingów. Federacya pozostała bez funduszów.

Był to cios straszny dla Federacyi i dla Hyndmana. William Morris stał wtedy u szczytu swej sławy europejskiej, jako poeta, rysownik, dekorator, znawca architektury — a do tego jako ogromnie bogaty człowiek. Jego przystąpienie do Federacyi ogromnie imponowało wszystkim, którzy inaczej jęli patrzeć na nią, szczególnie, gdy Morris, jako zwykły szeregowiec, zaczął uczęszczać na zgromadzenia, jeździć na agitacyę, wygłaszać mowy, pisywać do „Justice" i kolportować ją po ulicach, ubrany w niebieską bluzę robotniczą.

Wystąpiwszy z Federacyi, secesyoniści założyli „Ligę socyalistyczną" z organem „Commonweal", które trwały do r. 1892, podkopując Federacyę, obrzucając ją i jej członków oszczerstwami. H. nie odpowiadał na ataki, ale dziś twierdzi, że secesya ta, wszczęta z powodu drobnostki, na długie lata podcięła rozwój socyalizmu w Anglii, i z oburzeniem odpiera zarzut, jakoby jego kłótliwość przyczyną była częstych swarów i zaostrzeń. Najlepszym dowodem, powiada, to przecież fakt, że Morrisowi nareszcie przejadły się te ataki, że poznał też otoczenie, które dokoła niego się zgromadziło, i pogodził się z H. Największem jego pragnieniem było połączyć wszystkie odłamy socyalistyczne w jedną wielką partyę, ale znów Fabianie stawiali opór. Morris z Baxem i Avelingami wrócili do partyi, ale fakt, że nie udało się osiągnąć celu doprowadzenia do zjednoczenia partyi, wprost życie mu skrócił. Morris umarł w r. 1896, a z nim zeszedł do grobu wielki mąż, który był prawdziwem wcieleniem uniwersalistów średniowiecznych, który nadto za cel sobie postawił: wydźwignąć klasę wydziedziczoną z nędzy, cierpień i przepracowania.

W czasie rozłamu pozostała garść wiernych Federacyi pracowała ciężko, pełniąc najcięższe zadania. Sami gazetę składali, roznosili i t. p., a mimo to „Justice“ wytrzymała konkurencyę dobrze materyalnie wyposażonego „Commenweal“. Główną uwagę poświęcano kwestyi bezrobotnych i wolności przemawiania na placach publicznych i ulicach, co niejednego z nich przyprawiało o utratę wolności. Niejedno zaburzenie powstawało w tych czasach, gdzie socyalistów pomawiano o najstraszniejsze zamiary. W czasie jednego takiego ruchu, spowodowanego zgromadzeniem bezrobotnych, Burns, Williams i H. zostali aresztowani i oskarżeni o naruszenie spokoju publicznego. Proces ten dał klubowi uniwersyteckiemu sposobność wykluczenia H., co ogromnie go zabolało. Anglik bez klubu żyć nie może, a H. chętnie obracał się w kołach inteligencyi, uczonych i wybitnych mężów niesocyalistów.

Tak H. bywał często na salonach pani Stanley, uroczej kobiety, która z rzadkiem u Angielek wdziękiem umiała skupiać u siebie najdystyngowańsze towarzystwo mężów i kobiet ze świata politycznego, artystycznego i literackiego; umiała tu, na chwilę, godzić najzażartszych przeciwników.

H. doprowadza swe pamiętniki do kongresu paryskiego z r. 1889. Smutno przedstawił mu się ten kongres. Ironią brzmiał mu napis z Manifestu: „robotnicy wszystkich krajów łączcie się!“ Bo i francuski socyalizm był rozbity, a dwie jego frakcye, jedna z Guesdem, a druga z Broussem na czele, nie mogły obradować w jednej sali bez obawy, by do czynnych nie przyszło objawów tej głębokiej dla siebie nienawiści. Dziwnym zbiegiem okoliczności Federacya, która była marksowską, obradowała razem z posybilistami, co guesdyści uważali za zdradę zasad.

Mimo to wszystko kongres zainaugurował nowe czasy. Od owego roku partye wszystkich krajów spotężniały; partya francuska zjednoczona, mimo różnic, które po dziś dzień nurtują w jej szeregach. Tylko Anglia nie ma tak potężnej partyi, jaką by mieć mogła, a Anglia najbardziej jest krajem, w którym socyalizm mógłby zrealizować się drogą spokojną, jak twierdzi po dziś dzień H., w zgodzie zupełnej z tem, co mówił jeszcze w r. 1881. Tylko nieświadomość, brak zrozumienia ze strony robotników nie pozwala jej wejść na drogę kolektywizmu i „transformacyi“ socyalistycznej. Albowiem formy ekonomiczne „gotowe są pod każdym względem do rewolucyi społecznej na korzyść powszechnego dobra“. Autor o tyle, naturalnie, się myli, że i świadomość ludzka jest jednem ze zjawisk rozwojowych i przejawów dojrzałości „form“ do przekształcenia społecznego. A świadomość ta rośnie w masach angielskich, budzona właśnie coraz większą dojrzałością form ekonomicznych i pogłębiającą się wciąż walką klasową.

Książkę Hyndmana czyni ogromnie pociągającą żywość stylu, barwność opowiadania i wprost piękne, pełne plastyki, sylwetki poszczególnych ludzi. Z niezwykłą miłością i entuzyazmem kreśli Hyndman wizerunek Karola Marksa, wobec którego, mimo poufałości i przyjaźni, jaka łączyła ich przed zerwaniem nieszczęsnem, „nie przestał czuć się uczniem“. Z dumą wspomina o tych czasach, kiedy bywał u Marksa w latach 1880 i 1881 i dzięki temu, że lekarz zabronił Marksowi pracować wieczorami, mógł „stokroć więcej osobiście i bezpośrednio korzystać z nauki Marksa, niż na innej drodze“. Marks bowiem w osobistem zetknięciu się był tak samo czarujący i tak samo głęboki, jak książki jego,

i pierwsze wrażenie, jakie H. odebrał, spotkawszy się z nim, może przewyższyło jeszcze wrażenie, które zrobił na nim „Kapitał“. Jeden tylko Mazzini tak fascynująco wpływał na niego, jak ten „Arystoteles XIX. wieku“. Ale Marks był potężniejszy duchem i jasnym i dalekim wzrokiem, jakim patrzył na ludzi i rzeczy, porywał wprost, a zarazem przygniatał otoczenie.

Dwie w nim, mówi Hyndman, tkwiły dusze, jedna gorąca i namiętna — polityka, każdej chwili gotowa atakować i ataki odpierać, druga spokojna i rozważna uczonego. Dwoistość ta odźwierciadlała się też w jego sposobie wyrażania się. „Gdy mówił z oburzeniem o polityce liberalnej wobec Irlandyi, natenczas oczy jego gorzały, brew marszczyła się, cała twarz, szczególnie szeroki i duży nos poruszały się z niesłychaną namiętnością. Wtedy wybuchał strumieniem obelg we wspaniałym wprost języku angielskim, którym władał po mistrzowsku na równi z największymi artystami słowa... Lecz jakżeż inaczej wyglądał, gdy rozwijał poglądy swoje na zjawiska ekonomiczne i rozwój społeczny. Wówczas spokój i rozwaga znamionowały jego wywody i Marks z proroka-oskarżyciela zmieniał się w głębokiego, pełnego wyrozumienia uczonego“. Nic dziwnego, że Hyndman z taką rozkoszą rozmawiał z Marksem, dalekim niesłychanie od podsuwanej mu dogmatyczności, a owianym tak entuzyastyczną miłością prawdy, że w jego towarzystwie każdy czuł się porwany w najczystsze dziedziny ducha. I nic też dziwnego, że tak boleśnie odczuł zerwanie z Marksem, któremu mimo to dochował najwyższą cześć i najgłębszą wdzięczność.

S. Trawiecka.

Przegląd prasy socyalistycznej.

Rolnictwo amerykańskie. Jedną z najważniejszych przyczyn drożyzny zboża jest zmniejszenie się wywozu ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., które do niedawna zasypywały Europę taniem ziarnem. Albert Rudolf przytacza w „Neue Zeit (zeszyt z 18-go października r. b.) ciekawe dane o obecnym stanie rolnictwa amerykańskiego. Stany Zjednoczone rozporządzają obecnie zapasem 100 do 120 milionów akrów (akr — $^{2}/_{5}$ hektara), ale przysposobienie ich do uprawy wymaga olbrzymich trudów dla osuszenia błot (przeważnie w stanach południowych) i nawodnienia pól w innych miejscowościach. Przyrost gruntów uprawnych znacznie się w ostatnich latach zmniejszył. Przestrzeń zagospodarowana wzrosła od r. 1871 do 1880 o 100 mil. akrów, od r. 1881 do 1890 — również o 100 mil., od 1891 do 1900 — o 200 mil., ale w dziesięcioleciu 1901—1910— tylko o 40 mil. Mowa tu o całej przestrzeni zagospodarowanej, więc i o pastwiskach. Ziemi pod pługiem przybyło znacznie mniej. W ostatniem dziesięcioleciu przyrost ziemi uprawnej pozostawał o trzecią część w tyle poza przyrostem ludności.. Nie tylko wszakże nowe grunta przybywają wolniej, niż ludność, ale i wzrost produkcyjności pozostaje w tyle za wzrostem ludności. Od r. 1890 ludność amerykańska wzrosła o 50%, w tym zaś czasie urodzaj pszenicy z akra wzrósł tylko o 16%, bawełny — o 4%, tytoniu o — 15%. To też Stany Zjednoczone coraz mniejszą cięść swoich produktów rolnych mogą wywozić. W ostatniem dziesięcioleciu XIX w. ze średniego rocznego urodzaju 400 mil. buszli

pszenicy Stany Zjednoczone wywoziły połowę, a nawet więcej. Dziś przy rocznym urodzaju 700 mil. buszli wywozi się mniej niż siódmą część! Podobnie rzecz się ma z żytem i owsem, a również z bydłem i mięsem.

Przyrost ludności idzie przeważnie na rzecz miast. W r. 1890 ludność miejska stanowiła 36%, w r. 1910 — już 46% ogółu. Jeżeli ludność miejska będzie nadal wzrastała w tem tempie, to w r. 1920 będzie już przewyższała ludność rolniczą. A wobec tego Stany Zjednoczone wkrótce przestaną już wywozić wiele ze swoich produktów rolnych.

Wprawdzie z gruntów amerykańskich można by otrzymywać dwa, a nawet trzy razy więcej plonów. Gospodarka amerykańska jest bowiem do dziś dnia daleka od intesywności. Średni urodzaj pszenicy wynosi w Anglii 30 buszli z akra, w Niemczech — 28, a w Stanach Zjednoczonych tylko 15! Ale autor nie spodziewa się, żeby intensywność uprawy mogła wzrosnąć w szybkiem tempie.

Wpoprzek intensywnej uprawie staje brak sił roboczych. Ciążenie do miast jest równie silne w Nowym Świecie jak i w Starym. Jako przykład, autor przytacza Stan Kansas, którego ogólna ludność w ostatnich trzech latach stale się zmniejszała, podczas gdy wielkie miasta tego stanu szybko wzrastały. Intensywna uprawa wymaga wielu rąk do pracy — tymczasem ręce te imają się chętniej zajęć przemysłowych.

Drugą przeszkodą jest system dzierżawny. System ten wzrasta w Ameryce. W dziesięcoleciu 1890—1900 liczba dzierżawców podskoczyła z 28 do 35% w stosunku do ogółu farmerów. W następnem dziesięcioleciu procent ten wzrósł do 37-iu. Otóż dzierżawcy amerykańscy zawierają kontrakty roczne, nie mają więc żadnego interesu w podnoszeniu intensywności uprawy. Koszta bowiem, z tem połączone, mogły by im zwrócić się dopiero po kilku latach.

Drożyzna produktów rolniczych przyniosła niemałą korzyść farmerom — właścicielom, zwłaszcza tym, którzy nabyli grunta po nizkiej cenie. Amerykański urząd pracy obliczył, jak wzrosły ceny tych towarów, które farmerzy nabywają, i tych, które sprzedają. Okazuje się, że od r 1899 do 1909 cena 85-iu towarów, które farmerzy nabywają, wzrosła o 12,1%, podczas gdy cena 10-iu głównych produktów rolnych wzrosła o 72,7%!

Natomiast dzierżawcy z podwyżki cen nie odnoszą korzyści wcale lub prawie wcale; im wyższe bowiem ceny ziemiopłodów, tem wyższe czynsze płacić muszą właścicielom. Są to właściwie proletaryusze, pracujący na kapitalistów. Przekładają oni jednak niepewny często byt drobnego dzierżawcy nad bardziej ustaloną dolę robotnika rolnego, ponieważ w ten sposób warują swoją niezależność, są „gospodarzami“, nie zaś najemnikami.

Autonomia narodowa w partyi austryackiej. Separatyzm zawodowy czeski z natury rzeczy musiał wywołać rozłam w organizacyi politycznej robotników austryackich. Najdobitniejszym tego wyrazem jest fakt, że tow. niemieccy oświadczyli się przeciwko wznowieniu Związku posłów socyalno-demokratycznych w Radzie państwa: wobec tego utworzyły się tam trzy zupełnie samoistne kluby socyalistyczne — niemiecki, czeski i polski. Istnieje wprawdzie wspólna Egzekutywa (komitet wykonawczy) socyalnej demokracyi austryackiej, ale przedstawiciele „Czesko-słowiańskiej s.-d. partyi robotniczej“ (separatystów) usunęli się z niej wobec tego, że Egzekutywa przyjęła do swoich szeregów

„Czeską s.-d partyę robotniczą“ (t. zw. centralistów, to jest zwolenników ogólno-austryackich związków zawodowych). Jednakże — partya „czeska“ jest bez porównania słabszą od „czesko-słowiańskiej“. Faktem jest tedy, że ogromna większość tow. czeskich stoi poza odnawiającą się wspólnotą partyjną.

Niektórzy tow. niemieccy pragnęli by teraz oprzeć partyę austryacką na innej podstawie. Utrzymują oni, że źródłem złego jest dotychczasowa autonomia narodowa organizacyi partyjnej, że należy zmienić przyjętą w 1897 r. zasadę federacyjnego związku partyj narodowych. Tow. ci chcieli by stworzyć partyę scentralizowaną, w której by czynnik narodowy jak najmniejszą odgrywał rolę.

Tow. tym odpowiada w „Kampf“ znany teoretyk niemiecko-austryacki Otto Bauer (zeszyt październikowy).

Bauer przedewszystkiem powołuje się na historyę, aby stwierdzić, że w Austryi nigdy nie istniała scentralizowana partya socyalistyczna. Uchwała z r. 1897 nie oznaczała wcale jakiegoś przełomu, przyjęcia jakiejś nowej zasady, lecz była tylko logicznem rozwinięciem i uporządkowaniem istniejącego stanu rzeczy. Już w r. 1873 robotnicy czescy w Wiedniu na zebraniach swoich oświadczyli, że związki zawodowe powinny być jednolite, natomiast organizacya polityczna ma być oparta na podstawie autonomii narodowej. W r. 1878 na zjeździe w Pradze założono samoistną partyę czeską, która jednak nie mogła ostać się wobec prześladowań politycznych. Dopiero w r. 1887 na zjeździe w Bernie utworzono dzisiejszą „Czesko-słowiańską partyę socyalno-demokratyczną“, a więc jeszcze przed zjazdem hainfeldzkim (r. 1888), który dał początek partyi austryackiej. Czesi przyłączyli się do tej partyi, ale zawsza zazdrośnie strzegli swojej samodzielności organizacyjnej, a poczęści i taktycznej. „Arbeiter-Zeitung“ w r. 1894 w następujących słowach określiła wzajemne stosunki socyalistów niemieckich i czeskich: „Możemy z dumą powiedzieć, że zadanie jest rozwiązane: jedność programu, porozumienie w sprawach taktyki, autonomia w organizacyi“.

Podobnież samodzielną była organizacya proletaryatu polskiego. Już od r. 1892, to jest od początku swego istnienia, partya polska była całkowicie niezależną we wszystkich sprawach polskich. Samodzielnie również ukonstytuowała się w r. 1896 partya słoweńska. Można powiedzieć, że w r. 1897 nastąpiła tylko ta zmiana, iż utworzyła się — odrębna organizacya niemiecka, do tego bowiem czasu zjazdy ogólno-austryackie załatwiały zarazem sprawy niemieckie, a zarząd ogólno-partyjny był zarazem zarządem organizacyj niemieckich.

Autonomia narodowa musi i nadal pozostać podstawą organizacyjną partyi austryackiej. Niemieccy robotnicy mogliby się wprawdzie zrzec swojej autonomii na rzecz wspólnej partyi. Ale to tłómaczy się tem, że oni stanowią większość w partyi austryackiej, obecnie, po usunięciu się separatystów czeskich, — nawet ogromną większość. Interesy więc ich, nawet bez autonomii, były by najzupełniej zabezpieczone. Ale żadna z mniejszych partyi narodowych nie wyrzekła by się autonomii, bo to groziłoby im zależnością od większości niemieckiej. Każda bowiem partya narodowa ma swoje sprawy, co do których zupełnie słusznie pragnie zachować samodzielność. Tak n. p. Słoweńcy zaprzątają się obecnie bardzo sprawą południowo-słowiańską. Istnieje wśród nich silny prąd, zmierzający do połączenia południowych Słowian, zarówno kulturalnego, jak i politycznego. Jasną jest rzeczą, że w tej sprawie tow. słoweńscy nie mogą być krępowani de-

cyzyą zjazdu ogólno-austryackiego, że sami muszą sobie wytknąć drogę. Nie mogą być przecież w tak żywotnej dla nich kwestyi zależni od większości niemiecko-czesko-polskiej. Rozumie się, zagadnienie to obchodzi nie tylko Słoweńców, rozumie się też, że i w sprawach narodowościowych należy dążyć do osiągnięcia porozumienia międzynarodowego. Ale większość nie może tu narzucać swojej woli i gdzie nie można się porozumieć, tam proletaryat każdego narodu sam musi sobie nakreślać drogę.

Jednakże — zasada ta, słuszna w dziedzinie politycznej, nie powinna być stosowana do organizacyi i walki zawodowej. Każda organizacya musi być dopasowana do swoich zadań. Konstytucya państwowa nie nadaje się na ustawę organizacyjną partyi; organizacya partyjna musi się różnić od zawodowej. Organizacya zawodowa grupuje robotników według zajęć i rodzajów przemysłu; śmiesznem było by przenosić ten podział do organizacyi politycznej. Ale tak samo niedorzecznem jest przenoszenie narodowego grupowania się z dziedziny politycznej do ekonomicznej. Jakoż widzimy, że w Austryi rozwój organizacyjny partyi i związków zawodowych szedł różnemi drogami: usamodzielnianiu się partyj socyalistycznych towarzyszyło centralizowanie się związków zawodowych. Dopiero w r. 1905 nastąpił pod tym względem przełom.

Rozumie się, partya socyalistyczna i związki zawodowe wpływają na siebie wzajemnie. „Jeżeli partye narodowe, z których składa się partya ogólno-austryacka, oddalają się od siebie coraz bardziej i nie umieją ustrzedz proletaryatu od nacyonalistycznego fałszu, to, oczywiście, proletaryat, zarażony nacyonalizmem, nie będzie umiał utrzymać koniecznej w organizacyi zawodowej międzynarodowej jedności. Bez wątpienia tedy, związki zawodowe potrzebują koniecznie silnej partyi ogólno-austryackiej. Ale przeszkodzilibyśmy tylko wznowieniu takiej partyi, gdybyśmy jej stawiali wymagania, których spełnić nie może".

Jaurès o Turcyi. Biada zwyciężonym! Już zewsząd dają się słyszeć głosy, uwielbiające zwycięzców, sławiące pogrom Turcyi jako dzieło cywilizacyi, postępu, sprawiedliwości i t. d. i t. d. Oczywiście nie brak w tym chórze nieuleczalnych głuptaków naszej prasy burżuazyjnej, którzy cieszą się — niewiadomo z czego. Prawdopodobnie z tego, że zwycięstwa narodków słowiańskich, to tryumf polityki rosyjskiej i wzmożenie rosyjskiej potęgi zewnętrznej i wewnętrznej.... Prawdopodobnie z tego, że rosyjska reakcya i rosyjski nacyonalizm rozzuchwalą się jeszcze bardziej... Prawdopodobnie z tego, że skutkiem tych zwycięstw wzmoże się militaryzm i zaborczość, a narody bałkańskie będą miały sposobność gnębienia muzułmanów... Kto by tam zresztą mógł dociec, czem się kieruje dziennikarz polski w swoich sympatyach i antypatyach międzynarodowych! Czy można n. p. zrozumieć, dlaczego p.-decka „Prawda" tryumfuje z powodu zagłady, grożącej Turcyi, dlaczego wypomina jej wszystkie dawne zbrodnie, a nie raczy o tem wspomnieć, że Turcyi, jak ongiś Polsce, jak dziś Persyi, nie pozwolono się odrodzić? Czy może „Prawda" w swojej warszawskiej wolnomyślności witać będzie zwycięstwo klerykalizmu prawosławnego nad półksiężycem?

Niechajże ci lekkomyślni albo niepoczytalni panowie, którzy zagładę Turcyi uważają za przejaw „sprawiedliwości dziejowej", przeczytają mądre i szlachetne słowa Jaurèsa w art. pod znamiennym nagłówkiem: „La Pologne turque"

(„Polska turecka"). Artykuł ten umieścił dziennik socyalistyczny „l'Humanité", przeciwstawiając się całej niemal burżuazyjnej prasie francuskiej, która za pieniądze i bezinteresownie wysługuje się interesom carskim. „Co do nas — pisze Jaurés — nie pójdziemy za przykładem tych, którzy nie wybaczają Turcyi jej porażek; i nie utaimy swojej boleści z powodu zagłady narodu. Byłoby to szlachetną sprawą skojarzyć muzułmanów z cywilizacyą europejską, pomódz tym Turkom, którzy usiłowali, — pomimo trudności bez liku, pomimo straszliwego oporu, który przeszłość stawiała — zmodernizować swój kraj.

„Europa egoistyczna i nikczemna postępowała w ten sposób, że nowy ustrój, osłabiony i zdyskredytowany ciosami, które mu zadawano, nie mógł wypełnić swego posłannictwa dziejowego. Europa uczyniła prawie niemożliwem dzieło reformatorskie, które dałoby wszystkim ludom bałkańskim słuszne rękojmie, zdobywane obecnie ostrzem miecza, w upojeniu przemocy, za cenę mordu i rwania w strzępy narodu tureckiego. Nie będzie to zniesieniem niewoli. Będzie to tylko jej przesunięciem. Będą tylko inni panowie i inni niewolnicy. A poniżenie, którego doświadczy świat muzułmański przez zniweczenie Turcyi, stanie się uszczerbkiem cywilizacyi powszechnej. Nawet gdyby z kryzysu tego po dłuższym czasie wyniknąć miały postępy polityczne i społeczne, to rodzaj ludzki osiągnie je na drogach haniebnych i krwawych, podstępem i gwałtem.

„Nie łudźmy się! Przygotowuje się całkowite zniweczenie Turcyi. Nie poprzestanie się na rozbiorze Turcyi europejskiej. Nastąpi rozbiór Turcyi azyatyckiej. ...Jak pierwszy rozbiór Polski z konieczności prowadził do nowych podziałów, tak samo rozbiór Turcyi europejskiej pociągnie za sobą rwanie w strzępy Turcyi azyatyckiej.

„Tak zaprawdę! Wstecznicy europejscy i francuscy mogą się cieszyć. Wszystko, co wskazuje, że ludzkość niezdolna jest do czynu szlachetnego i rozumnego, wszystko, co obniża polot nadziei, wszystko, co dzieła rozumu, postępu i sprawiedliwości zastępuje czynami podstępu i brutalności, — wszystko to służy ich niecnym planom. Oto już tryumfują obecnie z powodu ruiny Turcyi, powiadając: To nowe porządki ją zgubiły. Obłudnicy — zapominają, że rządy Abdul-Hamida podkopały wszystkie siły Turcyi i że Europa nie pozostawiła nowym rządom ani chwili wytchnienia dla usunięcia skutków przeszłości... Wstecznicy sławią dziś cnotę miecza i krzyża. Radykaliści francuscy mogą się przekonać, dokąd nas zaprowadziła ich polityka, polityka p. Delcassé i Clemenceau. Liberałowie angielscy mogą się przekonać, dokąd ich zaprowadziła polityka sir Edwarda Greya. Nigdy reakcya europejska nie była tak zuchwała. Nigdy idealizm demokratyczny nie był tak pohańbiony".

A w innym artykule Jaurès pisze: „Nie przestaniemy protestować przeciwko jezuickiej i barbarzyńskiej metodzie, którą zastosowano do rozwiązania kwestyi wschodniej. Podczas gdy, przy zgodnej akcyi Europy zjednoczonej i wolnej od zaborczych zamiarów, można by było przeprowadzić niezbędne reformy na półwyspie bałkańskim bez rozdarcia i bez wojny, to egoizm i nikczemność Europy rozpętały przemoc...

„Jest coś ponurego i strasznego w tem niweczeniu narodu w XX. wieku. Marks w 1848 r. we wspaniałym artykule w „Nowej Gazecie Reńskiej" przypomniał z powodu Polski wyrażenie wielkiego historyka francuskiego: „Są narody niezbędne". I bez wątpienia, gdyby powiódł się wysiłek Polaków, którzy

od r. 1791 do 1794 starali się ocalić kraj swój, organizując go i demokratyzując, gdyby mocarstwa obłudne i chciwe nie złamały tego wysiłku, gdyby Polska stała się wielkim narodem wolności politycznej i demokracyi rolnej, to inny był by wynik walki, która w r. 1848 toczyła się w całej Europie między Rewolucyą a kontrrewolucyą.

„Podobnież w chwili, gdy Turcya pada pod ciężarem swoich win, ale bardziej jeszcze pod ciężarem intryg, egoizmów i bezmyślności Europy, skłonny jestem powiedzieć, że ona także była „narodem niezbędnym“. Ona jedna reprezentowała świat muzułmański w Europie. Tylko w niej i przez nią świat ten stawał wobec zagadnień cywilizacyjnych, w Turcyi właśnie usiłował sobie nadać organizacyę nowoczesną... Wypadki obecne spychają znowu świat Islamu w rutynę i w mrok i na całej przestrzeni planety, przez poniżenie całej rasy, obniżają poziom cywilizacyi powszechnej....“

Generałowie reakcyi. Prasa burżuazyjna, zwłaszcza francuska, dowodzi, że jedną z przyczyn klęski tureckiej jest — „wtargnięcie“ z winy młodoturków „polityki do armii“. „Polityka“ miała armię osłabić i zdemoralizować. W twierdzeniu tem jest trochę słuszności. Ale do osłabienia armii przyczyniła się nie polityka młodoturecka, lecz właśnie — polityka reakcyjna. Wszak już od siedmiu miesięcy młodoturcy nie są u steru rządu, a obaliła ich „Liga militarna“, organizacya kontrrewolucyjna. „Humanité“ konstatuje, że to właśnie przywódcy tej kliki są smutnymi bohaterami najważniejszych porażek tureckich. Prezydent tej „Ligi“ Abdullach pasza, dowódca armii północnej, jest głównym winowajcą okropnej klęski pod Kirk-Kilisse. Wice — prezydent „Ligi“ Mahmud Muktar pasza, komendant jednego z korpusów armii północnej, odznaczył się jako generał rejterady z pod Kirk-Kilisse. A tak mu spieszyło się, że zapomniał — zabrać planu kampanii, który też wpadł w ręce wroga. Głównodowodzący armii zachodniej, pobity przez Serbów pod Kumenowem, to Zekki pasza, wierny generał Abdul-Hamida, głównodowodzący rzezi armeńskich, ajent fabryki Kruppa...

Zaborcza polityka Rosyi. Rudolf Hilferding w art. swym p. n. „Der Balkankrieg und die Grossmächte“ (Wojna bałkańska a mocarstwa, „Neue Zeit“ z 18-go października) uznaje dawną marksowską oryentacyę w polityce zagranicznej za przestarzałą: Przytacza wyjątek z art. Marksa o kwestyi wschodniej, pisanego w r. 1853, i dodaje następujący komentarz: „Rosya i Rewolucya — oto przeciwieństwo, dokoła którego, zdaniem Marksa, obracała się historya europejska. Z jednej strony — stara azyatycka Rosya, ostoja legitymizmu i kontrrewolucyi, z drugiej zaś — rewolucya demokratyczna, wspólnie prowadzona przez drobnomieszczaństwo i proletaryat. Każda zaś przerwa w procesie rewolucyjnym wypełniona przez dążenie Rosyi do Konstantynopola, natomiast rewolucyjna demokracya i angielska klasa kapitalistyczna zmuszone do wspólnej walki przeciwko azyatyckiemu barbarzyństwu, do obrony Bałkanu przeciwko Rosyi“. W ten sposób streściwszy pogląd Marksa, Hilferding zaznacza, że dziś sytuacya jest zgoła odmienna. Nie o demokratyczną rewolucyę dziś chodzi, lecz o rewolucyę socyalną, skierowaną przeciwko wszystkim państwom kapitalistycznym. Co się zaś tyczy Rosyi, to, jak Hilferding twierdzi, „Rosya przestała być zewnętrznem przeciwieństwem Rewolucyi, sama ma Rewolucyę w łonie — i dumna twierdza legitymizmu leży powa-

lona, z tysiącem ran, które jej zadała Rewolucya. Nie Rosya dziś postawiła kwestyę wschodnią, lecz Rewolucya. Nie socyalna rewolucya Europy, lecz Rewolucya azyatycka, która równie mało ma szacunku dla status quo i nie może powstrzymać tego, co upada, lecz przeciwnie musi je zepchnąć w przepaść".

Wywody Hilferdinga są zaprawdę zdumiewające. Naprzód, co się tyczy poglądów Marksa na politykę miedzynarodową, to łatwo zauważyć, że Hilferding obszedł się z niemi tak, jak rewizyoniści obchodzą się zazwyczaj z teoryami społecznemi Marksa. Hilferding, wybitny teoretyk marksistowski, oburza się napewno, gdy rewizyoniści wypaczają myśl Marksa, zamiast całego jej wielkopańskiego bogactwa widząc chude formułki. Ale Hilferding tak samo postępuje z marksowską polityką miedzynarodową. Wygląda to tak, jak gdyby Marks państwom i rządom europejskim (prócz Anglii) nie przypisywał żadnego samodzielnego znaczenia i wskazywał proletaryatowi oraz burżuazyi demokratycznej jednego tylko wroga — despotyczną, zaborczą Rosyę. Oczywiście, tak nie było. Natomiast było to, że Marks wskazywał Rosyę jako n a j g o r s z e g o wroga demokracyi i postępu społecznego, że widział w państwie carów sklepienie reakcyi europejskiej, że niezmordowanie denuncyował wobec opinii demokratycznej i socyalistycznej nienasyconą żarłoczność Rosyi i jej fatalne oddziaływanie na politykę europejską.

Dużo od tego czasu się zmieniło. Ale czy t o się zmieniło? Hilferding ze zdumiewającą naiwnością twierdzi, że Rosya „leży powalona", że Rewolucya ją skrępowała i że brak jej sił do odgrywania dawnej reakcyjnej roli w polityce zagranicznej.

Dziwne zaślepienie nie pozwala Hilferdingowi widzieć tego, co wprost rzuca się w oczy. Rewolucya zgoła nie zmieniła zaborczego i reakcyjnego charakteru Rosyi: przeciwnie, widzimy, jak z dnia na dzień rosną jej apetyty i ambicye. Ta Rosya „powalona", „z tysiącem ran, które jej zadała Rewolucya", „z Rewolucyą w łonie" — żywcem pożera Persyę i zapuszcza drapieżne szpony w Mongolię. A zabezpieczona na Dalekim Wschodzie układem z Japonią i przyjaźnią angielską, wraca tryumfalnie na Wschód bałkański — i nie poświęciwszy ani jednego żołnierza, obala Turcyę. Podobnież przed awanturami wschodnio-azyatyckiemi Rosya zabezpieczyła się na Bałkanach układem i przyjaźnią austryacką. Tylko, że wówczas poniosła ciężką klęskę, bo lekkomyślnie wdała się w wojnę z silnem państwem; dziś tryumfuje w polityce zagranicznej, opierając się na arcydziele swojej dyplomacyi, na sojuszu bałkańskim. Niezadługo wypłynie znów kwestya Konstantynopola i Armenii tureckiej...

„La Russie ne boude pas; elle se recueille" (Rosya nie szemrze; ona zbiera siły) — powiedział Gorczakow po klęsce krymskiej. Hilferding nie ma widocznie pojęcia o charakterze zagranicznej polityki rosyjskiej, jeżeli sądzi, że ciosy pokonanej zresztą Rewolucyi powstrzymały Rosyę na jej tradycyjnej drodze. Przeraźliwie wymowne fakty świadczą, że tak nie jest. Gdyby jednak nawet Rewolucya zwyciężyła a Rosya w j e j d z i s i e j s z y c h g r a n i c a c h stała się państwem konstytucyjnem, to to wzmogło by jedynie jej siłę napastniczą i zaborczą.

Dziwne też conajmniej jest twierdzenie Hilferdinga, że „nie Rosya dziś postawiła kwestyę Wschodnią, lecz Rewolucya". Co tutaj Hilferding nazywa Rewolucyą? Jeżeli Rewolucyą mianuje wojnę, prowokowaną przez sojusz państewek bałkańskich, to jest to poprostu — igranie pojęciami i słowami. Na Bałka-

nach odbyła się istotnie Rewolucya, ale był to — przewrót młodoturecki. Dzisiaj zaś kwestyę wschodnią stawiają sprzymierzone państewka bałkańskie, poczęści niewątpliwie jako sprawę zjednoczenia narodowego i rozwoju ekonomicznego, w znacznej jednak mierze poprostu w celach zaborczych i dynastycznych. Co najważniejsza zaś, stawiają tę kwestyę pod patronatem Rosyi i z ogromną korzyścią dla jej polityki — a więc w sposób reakcyjny i szkodliwy dla interesów proletaryatu międzynarodowego.

Hilferding sprawy tureckiej, jak wszystkie inne sprawy współczesnej polityki międzynarodowej rozpatruje wyłącznie, jako przejawy antagonizmu niemiecko-angielskiego. Bez wątpienia Anglia w ostatnich latach smutną odgrywała rolę na Bałkanach, zaślepiona swoim antagonizmem do Niemiec, jak smutną rolę odegrywała w Persyi, dopomagając tam posiepakom rosyjskim w ich niecnem rzemiośle. W ostatnich czasach Anglia w swojej polityce bałkańskiej jednym tylko kierowała się motywem: przeciwdziałania wpływom niemieckim. W tym celu systematycznie podkopywała rządy młodotureckie. Th. Rothstein w art. p. n. „England und die Balkankrise" („Anglia i kryzys bałkański" — „Neue Zeit" zeszyt z 25-go października) wykazuje, że Anglia gorliwie popierała wszystkie kontrrewolucyjne intrygi, aby obalić młodoturków. A właśnie upadek młodoturków, który nastąpił przed siedmiu miesiącami, i towarzyszące mu niemal rewolucyjne wstrząśnienia ośmieliły i zachęciły do akcyi państewka bałkańskie w niemniejszym stopniu, jak wojna turecko-włoska.

Czegóż jednak to wszystko dowodzi? Oto tego, w jak mistrzowski sposób Rosya umiała wyzyskać wszystkie korzystne dla niej okoliczności, między innemi antagonizm niemiecko-angielski! Bo przecież to j e j polityka tryumfuje w sojuszu i zwycięstwach państewek bałkańskich, w upadku Turcyi, j e j wpływy reakcyjne wzrastają!

Przeciwrosyjska oryentacya w duchu Marksa jest dziś potrzebniejsza, niż kiedykolwiek—i na błędnej drodze są ci socyaliści, którzy lekceważą lub ignorują tę stronę polityki międzynarodowej proletaryatu. Niektórzy w zamiłowaniu pokoju z a w s z e l k ą c e n ę poszli tak daleko, że oświadczają jak dr. Schacherl na zjeździe socyalnej demokracyi niemiecko-austryackiej, iż w obecnej chwili nie należy występować przeciwko polityce rosyjskiej!!

Związek bałkański. Otto Bauer w „Kampf" (zeszyt listopadowy, art. „Wojna o Macedonię") wyjaśnia, jak to się stało, że narody bałkańskie, które do niedawna tak namiętnie między sobą rywalizowały, jakby zapomniały sporów i połączyły się przeciwko Turkom. Główną przyczyną tej rywalizacyi była Macedonia, gdzie ścierały się zaciekle interesy narodowe Grków, Bułgarów i Serbów. Macedonia jest istną mozaiką narodowościową: mieszkają tu obok siebie, pomieszani, Turcy, Bułgarzy, Serbowie, Grecy i Kuco-wołosi (Rumuni). Turcy byli oczywiście żywiołem panującym politycznie i ekonomicznie. Ale i Grecy byli czynnikiem do pewnego stopnia uprzywilejowanym, ponieważ oni byli przedstawicielami kapitału pieniężnego i handlowego. Co najważniejsza zaś, oni byli panami kościoła prawosławnego. Narody słowiańskie dążyły do wyemancypowania się z pod władzy kościoła greckiego: w r. 1870 kościół bułgarski odłączył się od kościoła greckiego; z greckim p a t r y a r c h a t e m począł rywalizować bułgarski e g z a r c h a t. W Macedonii zawrzała walka o „dusze", o przeciągnięcie na

swoją stronę gmin kościelnych. Walka ta toczyła się w sposób niebardzo zbożny, ale oryginalny: tworzyły się „bandy“ bułgarskie i greckie, które tyranizowały ludność i krwawe staczały walki. W walkach tych szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Bułgarów, którzy są liczniejsi. Tylko na południu wśród chłopów greckich, i w miastach Grecyi mają przewagę. W większej części Macedonii język bułgarski wyparł język grecki ze szkoły i z kościoła.

Bułgarzy, wypierając w ten sposób Greków, brali zarazem pod swoje skrzydła opiekuńcze Serbów macedońskich. Ponieważ Serbowie nie mają własnego kościoła narodowego, więc, emancypując się od patryarchatu greckiego, stawali się łupem Bułgarów. Na to znowu Serbia nie mogła patrzeć spokojnie: w łonie tedy patryarchatu Serbowie pozyskali prawa osobnego narodu. Ażeby przeciwdziałać Bułgarom, którzy ciągnęli Serbów do swego egzarchatu, potworzyły się zbrojne bandy serbskie. Rumuni również zdobyli autonomię w łonie kościoła greckiego — i powołali do życia swoje bandy zbrojne. Tak więc w Macedonii wrzała walka wszystkich przeciwko wszystkim: Bułgarów przeciwko Grekom, Greków przeciw Bułgarom i Rumunom itd. Rząd turecki spoglądał na te walki nie bez zadowolenia w myśl zasady: divide et impera (dziel i panuj). Gdy jednak gospodarka band zaczęła grozić krajowi zupełną anarchią i ruiną, Abdul Hamid krwawo się z nią począł rozprawiać. Wtedy jednak wszystkie bandy zwróciły się zgodnie przeciwko Turkom. W Macedonii w r. 1903 wybuchła formalna rewolucya, która wywołała interwencyę mocarstw. Wówczas to Rosya z Austryą zawarła układ w Mürzsteg w sprawie reform dla Macedonii. Rosya urządziła się nader dowcipnie: zabezpieczyła się od „niespodzianek“ na Bałkanach, pozostawiła tam na straży Austryę, aby módz pełnić swe posłannictwo w Mandżuryi i Korei. Oczywiście z „opieki“ mocarstw, nieszczerej i interesownej, pożytku nie było. Wraz ze zmianą stosunków międzypaństwowych, układ Mürzsteski oddano do archiwum, a Rosya w r. 1908 w Rewlu zawarła nowy układ z nową swą przyjaciółką, Anglia, co do nowych reform w Macedonii. Opieka ta, z której niedwuznacznie już wyzierał początek rozbioru Turcyi, wywołała — rewolucyę młodoturecką.

Młodoturcy istotnie zaprowadzili ład i porządek w Macedonii. Ich centralistyczne dążenia, jak zauważa Bauer, nie były „błędem“, lecz koniecznym i jedynym sposobem uspokojenia kraju przy utrzymaniu władzy tureckiej. Ale młodoturcy sprawili to, że Grecy, Bułgarzy i Serbowie macedońscy zgodzili się — w nienawiści do Turków, co, dodajmy, odpowiednie państewka bałkańskie sumiennie wyzyskały. I jak na zawołanie zjawiły się znowu bandy i wybuchać zaczęły bomby, na co rozwścieczona ludność turecka odpowiedziała biciem chrześcijan, co ze swej strony nie omieszkało wywołać w Sofii i Belgradzie patryotycznego oburzenia...

Macedonia tedy przestała być kamieniem obrazy dla państewek bałkańskich. Natomiast poważne interesy pchały je do sojuszu. W Grecyi od r. 1897 sprawa przyłączenia Krety nie schodziła z porządku dziennego; Grecya jednak, aby osiągnąć swój cel — odebranie Turcyi wysp greckich oraz Egiptu i Tessalii — musiała zbliżyć się do Bułgaryi. Widocznie pomyślano tam sobie, że lepiej zrzec się Macedonii, ale obłowić się z pomocą Bułgaryi gdzieindziej. Serbia znowu, szykanowana w swojej polityce ekonomicznej przez Austryę, wobec zamkniętej

granicy celnej austryackiej niezmiernie skrępowana w swym rozwoju, szukać musiała wyjścia do morza.

W ten sposób powstała harmonia interesów przeciwtureckich, co w sposób mistrzowski wyzyskała Rosya, oddawna już niezmordowanie pracująca nad stworzeniem sojuszu bałkańskiego, który by był przewodnikiem jej wpływów i otworzył jej Dardanele, a jeśli się to nie uda, jakąś inną zdobyczą obdarował.

Nasuwa się pytanie, czy można Związek bałkański uważać za jakąś trwałą formacyę. Bauer nie zajmuje się tem zagadnieniem. Sądzimy jednak, że wywody jego bynajmniej nie upoważniają do złudzeń, jakoby zatargi między Serbią, Bułgaryą i Grecyą były już na dobre pogrzebane. Można z góry przepowiedzieć, że po zwycięstwie nad Turkami odżyją one nanowo; pewien przedsmak tego mamy już dziś w wiadomościach dziennikarskich o rywalizacyi wojsk bułgarskich i greckich w Salonikach. Bułgarzy we Wschodniej Rumelii, którą władają od r. 1886, nader energicznie i skutecznie wynaradawiają Greków. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te państewka-dorobkiewicze z całą pasyą zabiorą się do tępienia obconarodowych żywiołów na nowo-zdobytych terytoryach.

Kautsky w „Neue Zeit“ („Wojna i Międzynarodówka“) powiada słusznie, że nie może być nic fałszywego jak przypuszczenie, iż dzisiejsza wojna, o ile uda się ją zlokalizować, utrwali błogi pokój na Bałkanach. Związek bałkański nie przekształci się zapewne w jakąś stałą federacyę. Trwały i dobrowolny związek federacyjny kilku państw możliwy jest zazwyczaj tylko na podstawie republikańskiej. Wyjątek pozorny stanowią Niemcy — ale nie należy zapominać, że państwa Rzeszy niemieckiej są w istocie, chociaż nie formalnie, wasalami Prus, które posiadają nad niemi ogromną przewagę (Prusy liczą dziś 40 milionów mieszkańców, reszta Rzeszy niemieckiej — 25 mil.). Takiej przewagi nie ma żadne ze sprzymierzonych państewek bałkańskich. Bułgarya liczy 4.300 tysięcy mieszkańców, Grecya 2.600 tys., Serbia 2.850 tys., Czarnogóra 250 tys. Kautsky pominął tu jeszcze jeden, niezmiernie ważny moment: zjednoczenie Niemiec było zjednoczeniem narodu niemieckiego, podczas gdy tu chodziłoby o federacyę różnych narodów, co jest dziełem bez porównania trudniejszem.

Jeżeli więc Związek bałkański nie jest formacyą trwałą, to po wojnie nie nastąpi pokój na Bałkanie. Wojna dzisiejsza — powiada Kautsky — „może rozwiązać kwestyę Turcyi europejskiej przez jej upadek, ale nie może stworzyć trwałego pokoju na Bałkanie... Jeśli się uda zlokalizować dzisiejszą wojnę, to to nie oznacza stworzenia trwałego pokoju. Jak zlokalizowana wojna w r. 1864 (o Szlezwik-Holsztyn) pociągnęła za sobą wojny r. 1866 i 1870, tak dzisiejsza wojna brzemienna jest dalszemi wojnami...“

Sojusz franko-rosyjski. Franciszek de Pressensé, przewodniczący „Ligi praw człowieka“ i wybitny działacz socyalistyczny francuski, umieścił w „Tribune russe“ (Trybuna rosyjska — wznowiony po trzyletniej przerwie organ S. R.-ów) artykuł o sojuszu franko-rosyjskim. De Pressensé w zasadzie nie jest przeciwnikiem tego sojuszu, uznaje jego powstanie przed dwudziestu laty za usprawiedliwione, a może nawet konieczne. Chodziło wtedy o to, by stworzyć przeciwwagę nadmiernej po r. 1871 potędze Niemiec. Dla Francyi, zupełnie wówczas odosobnionej, sojusznik był niezbędny. Że republikańska Francya sprzymierzyła się z despotyczną Rosyą, w tem niema jeszcze nic nadzwyczaj-

nego. Richelieu właśnie po zgnieceniu Hugonotów (protestantów francuskich) sprzymierzył się z Gustawem Adolfem. Konwencya narodowa (z czasów W. Rewolucyi) przyjaźniła się z sułtanem tureckim. Zdaniem de Pressenségo, nie sam sojusz był szkodliwy, lecz to, że francuscy politycy burżuazyjni okłamywali naród, przedstawiając traktat z Rosyą jako drogę do odwetu, do odzyskania Alzacyi i Lotaryngii. Rosya ani na chwilę o tem nie myślała, tymczasem ogół francuski wierzył w to i szczerze sojuszem zachwycał się. W caracie widziano nie sojusznika, który zawarł korzystny dla siebie układ, lecz jakby wspaniałego dobroczyńcę. To odrazu nadało Rosyi przewagę w tym sojuszu i sprawiło, że Francya poprostu stała się narzędziem Rosyi. Wszędzie Francya poświęcała swoje interesy na rzecz rosyjskich. Miliardy francuskie, zamiast zapładniać rolnictwo i przemysł kraju, płynęły do Rosyi, służąc jej kontrrewolucyjnym celom. Później Francya zbliżyła się z Anglią, a za pośrednictwem Francyi nastąpiło zbliżenie między Anglią a Rosyą. Od Francyi Rosya brała miliardy, uczyniła Anglię współwinną swej nikczemnej polityki w Persyi. Co jest najdziwniejsze, to to, że Rosya, pomimo trójporozumienie, umiała się zbliżyć z Niemcami. Mogło się zdawać, że podróż do Petersburga p. Poincaré polepszy stanowisko Francyi w sojuszu. Okazało się jednak, że po tej wizycie Francya jeszcze bardziej zaplątała się w sieciach rosyjskich. P. Sazonow nie raczył zakomunikować Francyi wszystkich szczegółów Potsdamskiej umowy (z Niemcami) ani też nie wtajemniczył jej w cele sojuszu bałkańskiego, nad którego utworzeniem carat tak gorliwie pracował. De Pressensé kończy swój artykuł następującemi słowy: „Albo trójporozumienie przestanie być posłusznem narzędziem kombinacyj gabinetu petersburskiego, często niezręcznych (?), a zawsze egoistycznych i kontrrewolucyjnych, — albo też Francya i Anglia odczują na swojej skórze, że nie można bezkarnie wyrzekać się zasad, stanowiących główną treść danych rządów, zasad, któremi powinna kierować się tak zewnętrzna, jak i wewnętrzna ich polityka“.

Echa.

Wybór Jagiełły. Pisaliśmy w poprzednim N-rze „Placówki“: „Zapewne to nie nastąpi — ale było by uwieńczeniem tej zabawnej hecy, gdyby „litwacy“ zamanifestowali swój patryotyzm „litewski“, koronując robociarza Władysława Jagiełłę na — posła do Dumy....“

Nastąpiło to jednak... Z woli nacyonalistycznych wyborców żydowskich, Jagiełło, wprawdzie nie Władysław, lecz Eugeniusz, pojedzie do Petersburga, aby tam w dumskiej frakcyi socyalno-demokratycznej reprezentować „lewicę“ P. P. S.

Jeżeli potrzeba było jaskrawego, nieodpartego dowodu, że w naszych warunkach jedynie bojkot Dumy przystoi stronnictwu socyalistycznemu, że dumokrąższtwo jest taktyką wszechstronnie szkodliwą — to właśnie wybór Jagiełły dowodu tego dostarczył. Bo gdyby nacyonaliści żydowscy nie zdobyli się na tę „jagiellońską politykę“, gdyby Jagiełło nie przyjął z ich rąk chrztu dumskiego, to dumokrąższtwo socyalistyczne nie ujawniło by się w całej swej krasie. Dumokrążcy mogli by się powołać na sterty swoich odezw wyborczych, mogli by utrzymywać, że im chodziło o sposobność do agitacyi i uświadomiania klaso-

wego. Motywy te, z naciskiem podkreślane przez dumokrążców dla zagłuszenia wyrzutów sumienia rewolucyjnego, zgoła nie były przekonywające. Ale miały przynajmniej jakiś przyzwoity pozór, mogły od biedy uchodzić za wyraz pragnienia jakiegoś surogatu akcyi, za skromne i niewybredne szukanie — źdźbeł na ściernisku. Lecz „pomyślny" wynik tej akcyi — „lewicowo"-litwacki Grunwald Eugeniusza Jagiełły — pokazał dobitnie, jakim mętem jest całe dumokrążstwo, jaką szkodę ruchowi socyalistycznemu wyrządza jego „powodzenie", jakie chwasty wyrastają na ugorze niepoczytalnego oportunizmu dumokrążców.

Jagiełło otrzymał swój mandat z rąk nacyonalistów żydowskich. Wiadomo, jak szkodliwą rolę w naszem życiu politycznem odgrywa nacyonalizm żydowski. Walka z n.-dectwem, walka z antisemityzmem bynajmniej nie może i nie powinna usposabiać nas przychylniej dla nacyonalizmu żydowskiego: przeciwnie, tem ostrzej powinniśmy go zwalczać, że jest on jednem ze źródeł, zasilających antisemityzm i wszelką reakcyę. Z jakiegokolwiek punktu widzenia będziemy tę rzecz rozpatrywali: czy ze stanowiska interesów robotniczych, czy interesów narodowych polskich, czy też istotnego dobra masy żydowskiej — socyalizm musi bezwzględnie zwalczać nacyonalistów żydowskich. Żadne interesiki wyborcze nie powinny zasłaniać tego żywotnego interesu polskiej polityki socyalistycznej. Szczególnie dziś, w dobie zaognienia się kwestyi żydowskiej, kiedy nacyonalizmy polski i żydowski szczują się i podjudzają wzajemnie—socyalistom polskim nie wolno gwoli oportunizmu wyborczego, dawać choćby pozoru, że wzmacniają nacyonalizm żydowski. Nasze zasadnicze stanowisko, dyktujące nam rozumny i obiektywny stosunek do kwestyi żydowskiej w duchu interesów mas pracujących, daje nam siłę moralną i wyniosłe, dostojne stanowisko wśród żydożerczych i „litwackich" rozterek. Nędzny oportunizm dumokrążny, który je z ręki „litwaków", kompromituje socyalizm, plami czystość sztandaru robotniczego, zaognia tylko kwestyę żydowską, z jednej strony dając pożądany żer antisemityzmowi, z drugiej zaś służąc za narzędzie widokom i kombinacyom nacyonalistów żydowskich.

Eugeniusz Jagiełło, z woli kierowników „lewicy" P. P. S., dbałych jedynie o swój kramik partyjny, z woli krótkowidzących oportunistów — był niczem innem, jak narzędziem w rękach nacyonalistów żydowskich. Pisaliśmy w poprzednim N-rze, że panowie ci, przypadkowo osiągnąwszy większość w kolegium wyborczem, w poczuciu, że im się ta większość nie należy, sami nie wiedzieli, jak wybrnąć ze swego „tryumfu" wyborczego. Ostatecznie postanowili zamanifestować, że oni — tak czy owak — są panami sytuacyi. Mieli na tyle rozumu i poczucia przyzwoitości, że nie wybrali „swego". Ale to zarazem świadczyło, że nie mają za sobą siły moralnej, skoro poczuwają się do tego, iż nieprzyzwoitością było by wybierać posła z większości nacyonalistyczno-żydowskiej. A jednak chcieli zamanifestować, że oni decydują o wyborze posła, a ponieważ nie chcą Kucharzewskiego, więc — niech będzie Jagiełło! I z rąk tych ludzi, którzy sami poczuwali się do braku siły moralnej, a którzy jednak pragnęli zamanifestować swą przypadkową większość, „lewicowiec" Jagiełło przyjął mandat!

Wskazaliśmy już w poprzednim N-rze, że taktyka przeciwdmowskiej koncentracyi była fałszywa — i nie my będziemy rozgrzeszali p. Kucharzewskiego z tego, że oświadczył się przeciwko równouprawnieniu żydów w samorządzie. Podobnież wodą na młyn nacyonalizmu żydowskiego było to, że koncentracya

zniechęciła żydów zasymilowanych. Jednakże, bądź co bądź, koncentracya miała tę zasługę, że obaliła Dmowskiego. Był to objaw w naszem życiu publicznem dodatni, i ponieważ aż nadto dobrze wiadomo, jak mało, jak strasznie mało można oczekiwać dobrego od naszej burżuazyi, fakt ten należało zapisać na jej dobro. Wybór Kucharzewskiego byłby w tych warunkach jedynym logicznym wynikiem, o ile w całem dumokrąźstwie może się jakaś logika przejawiać. Wybór Jagiełły osłabia znaczenie upadku Dmowskiego, czyni go mniej sromotnym i mniej dotkliwym dla reakcyi polskiej. Wybór Jagiełły nawet w najmniejszym stopniu nie jest zwycięstwem socyalizmu, natomiast jest dziełem nacyonalizmu żydowskiego. Wybór Jagiełły kompromituje socyalizm — na szczęście tylko socyalizm dumokrąźny, oportunistyczny i antirewolucyjny, który przeciwko burżuazyi polskiej, nieśmiało, ale bądź co bądź przeciwstawiającej się ohydzie n.-deckiej, zgadza się być narzędziem obskurnego „litwactwa".

Są tu jeszcze pewne okoliczności obciążające. Zaledwie mniejszość robotników, mniejszość wcale nieznaczna brała udział w wyborach. Większość przeważna wybory bojkotowała. „Lewica" P. P. S. nie może się więc powołać na to, że Jagiełło był wybrańcem ludu, że proletaryat warszawski pałał chęcią wysłania swego przedstawiciela do Dumy popiej i czarnosecinnej. O istotnym nastroju robotników świadczy chociażby ten fakt, że w fabryce Bormana i Szwedego, w której Jagiełłę wybrano jako pełnomocnika, na siedmset kilkadziesiąt pracujących głosowało zaledwie sto kilkadziesiąt, a i z tych nie wszyscy głosowali na Jagiełłę. A więc proletaryat naogół nie troszczył się o to, by ozdobić kramik „lewicowy" figurą posła dumskiego.

Na dobitkę, dwaj koledzy Jagiełły w dumokrąźstwie, s.-decy, wcale jego kandydatury nie poparli i nawet manifestacyjnie wyszli z sali przed głosowaniem. Nie wątpimy naturalnie ani na chwilę, że powodowała nimi zawiść konkurencyjna, i przypuszczamy, że byli by mniej srodzy, gdyby łaska nacyonalizmu żydowskiego ku ich kramikowi się skłoniła. „Krupa j a g ł ą być nie może" — taki był prowdopodobnie sens usunięcia się $^{2}/_{3}$ z dumokrąźnej trójcy robotniczej. Ale jakiekolwiek były motywy tej secesyi, sam fakt kompromituje jeszcze bardziej poselstwo Jagiełły. Bo w ten sposób stało się, że na Jagiełłę głosowali jedynie i wyłącznie nacyonaliści żydowscy, że tem jaskrawiej uwydatnił się charakter tej zabawnej hecy i smutnej roli, którą w niej odegrywała pchająca się za wszelką cenę do Dumy, dotknięta już nie dumokrąźstwem, ale wprost dumokrąźnym kretynizmem — „lewica".

Z galeryi „byłych ludzi". P. Stanisław Mendelson, który w okresie od r. 1878 do 1893 tak wybitną rolę odgrywał w polskim ruchu socyalistycznym, — stał się odniedawna — przywódcą „litwaków" warszawskich... Człowiek ten, niepospolicie zdolny, przechodził zdumiewające ewolucye. Już w jego socyalistycznej działalności, która naogół była piękna i pełna zasługi, widać było nieraz brak równowagi duchowej, jakieś niespokojne miotanie się i dziwne skoki. Był w jego życiu socyalistycznem okres (w 1887—89 r.), kiedy hołdował—panslawizmowi rewolucyjnemu w duchu Bakunina. W tym czasie pojawiło się widmo wojny między Rosyą a Niemcami i Austryą. Otóż Mendelson, wobec grożącej wojny, zajął stanowisko — rusofilskie i przeciwniemieckie; od słowianofilstwa demokratycznego, od zbratania się ludów słowiańskich oczekiwał lepszej przyszłości dla

ludu polskiego. Napadał wówczas gwałtownie na patryotów polskich (między innemi na p. Zygmunta Balickiego) za ich „austrofilstwo“ i przeciwrosyjski kierunek ich polityki międzynarodowej. Niechaj sobie panowie Baliccy odczytają ówczesne artykuły Mendelsona w „Walce klas“ i „Przedświcie“, wymierzone przeciwko nim, a znajdą tam miłe obecnie ich sercu rusofilskie poglądy (z tą oczywiście różnicą, że p. Baliccy nie mają złudzeń rewolucyjnych, które miał Mendelson, jako zwolennik „Narodnej Woli“, i że bez złudzeń pracują pour le tzar de toutes les Russies (dla cara Wszechrosyi)...

Po wystąpieniu z P. P. S. zaraz po założeniu tej partyi, Mendelson stracił wszelką busolę i począł miotać się w najrozmaitszych kierunkach. Ten człowiek jakby uwziął się, żeby tem miotaniem się bez sensu i celu — psuć sobie nekrolog. Zaraz po usunięciu się z partyi, zaczął pisywać korespondencye do konserwatywnego „Dziennika poznańskiego“ (pod pseudonimem W. Nadolskiego) — i jednocześnie był współpracownikiem postępowych pism warszawskich. W „Dzienniku poznańskim“ zaciekle i nieprzyzwoicie napadał na socyalizm i socyalistów, a w pismach postępowych był — radykalnym społecznikiem... Po latach, w Galicyi prowadził tę samą podwójną grę: we Lwowie był faktycznym kierownikiem duchowym „Kurjera lwowskiego“, a jednocześnie — stałym współpracownikiem „Czasu“ krakowskiego. Ta dwoistość i ten kompromis, które na sobie samym wypróbował, zachęciły go widocznie do przeniesienia swojej metody na szersze pole: Mendelson stał się inicyatorem i ojcem duchowym sojuszu ludowców z konserwatystami. Po rewolucyi Mendelson znalazł się w Warszawie i tu wstąpił do redakcyi ugodowego „Słowa“. Można było przewidzieć, że na tem jego „ewolucya“ nie skończy się — ale wprost pomyśleć było trudno, że Mendelson stanie się w r. 1912 wodzirejem „litwaków“ i skrybą, opracowującym ich odezwy wyborcze.

Mendelson był w swoim czasie jednym z pierwszych, którzy zwrócili uwagę na polityczne niebezpieczeństwo ciążącego do Rosyi „litwactwa“. Dwadzieścia lat temu, w r. 1892 Mendelson napisał w „Przedświcie“ niezmiernie ciekawy art. p. n. Wobec grożącego u nas antysemityzmu. W art. tym przepowiedział, że „litwactwo“ zaogni u nas kwestyę żydowską i nada jej charakter polityczny; ostrzegał więc żydów, zwłaszcza socyalistów żydowskich z Litwy, przed tymi skutkami ich ciążenia do Rosyi i obojętności dla kraju. A w r. 1893 napisał odezwę w imieniu PPS. „do tow. żydów w prowincyach zabranych“, wykazując im szkodliwość i reakcyjność ich „litwactwa“, występującego w radykalnej szacie.

A dziś ten sam Mendelson patronuje „litwakom“ najgorszego gatunku, nacyonalistycznemu drobnomieszczaństwu żydowskiemu. Widocznie renegaci, „byli ludzie“, mają przed sobą nieograniczone możliwości „ewolucyjne“...

Odezwa S. D. K. P. z powodu grożącej wojny. Jeżeli zajmujemy się na tem miejscu odezwą „wojenną“ S. D-cyi, to nie dlatego, żebyśmy przypisywali jej jakiekolwiek znaczenie i liczyli się z jej wpływem. Ale warto raz jeszcze stwierdzić, jak bezpłodnym, wrogim wszelkiemu rzetelnemu uświadomieniu jest frazes S.-decki, a przedewszystkiem jaką on haniebną odgrywa rolę wobec sprawy wyzwolenia narodowego.

Odezwa S.-decka przewiduje, że z wojny bałkańskiej wyniknąć może wojna europejska. Cóż wtedy? „Proletaryat europejski — czytamy w odezwie — pod wodzą Socyaldemokracyi stanie wówczas wobec zadania, by p o ł o ż y ć k r e s

wojnie międzynarodowej (przez Rewolucyę międzynarodową" (podkreślone w odezwie). Oczywiście, jest to poprostu lekkomyślny frazes, pospolita blaga rewolucyjna, nie zdająca sobie sprawy z grozy sytuacyi i z konkretnych warunków akcyi rewolucyjnej. Póki wojna nie wybuchła, — można ją powstrzymać, proletaryat socyalistyczny może stworzyć silny prąd opinii publicznej, przeciwdziałający wojnie. Ale skoro już wojna wybuchła, to nie można marzyć o jej powstrzymaniu, o stłumieniu jej czy to za pomocą agitacyi, czy też środków energiczniejszych, jak strejk powszechny lub powstanie zbrojne. Hervé zupełnie słusznie wykazuje bezsilność w tym wypadku strejku powszechnego. Strejk masowy — o powszechnym bowiem trudno mówić — może tu mieć znaczenie protestu, demonstracyi. Jego moralne znaczenie może zasługiwać na zupełne uznanie i bez wątpienia tow. włoscy, którzy urządzali strejki demonstracyjne po wybuchu wojny trypolitańskiej, dobrze zasłużyli się sprawie socyalizmu międzynarodowego. Jasna jednak rzecz, że strejkami nie można wymusić poniechania rozpoczętej już wojny. Rządy czasu wojny rozporządzają tak potężną siłą fizyczną i takim wpływem na społeczeństwo, że łatwo dadzą sobie radę ze strejkami, które by mogły źle wpłynąć na działania wojenne (np. ze strejkami kolejowymi, strejkami w arsenałach itp.). Ale i rewolucya, jako odpowiedź na wojnę, — co zaleca Hervé — w krajach niepodległych nie ma żadnych szans. Nie tylko nie uda się, ale wprost — nie dojdzie do skutku. „Jedno jest pewnem — powiada Kautsky w „Neue Zeit" („Wojna i Międzynarodówka", zeszyt z 8-go listopada r. b.): dzisiaj, w czasach powszechnej służby wojskowej i wzrastającej siły proletaryatu rewolucyjnego, żaden rząd nie ośmieli się wywoływać wojny, jeżeli nie udało mu się poprzednio rozpętać powszechnego entuzyazmu wojennego. Z drugiej strony równie jest pewnem, że byłoby bezowocnem, a nawet wprost szkodliwem, pośród ludności, porwanej powszechnym zapałem wojennym, przeszkadzać rządowi w prowadzeniu wojny przez akcye masowe, a zwłaszcza przez najpotężniejszą z nich, przez strejk masowy". Jakkowiek wrogi będzie stosunek proletaryatu socyalistycznego do rządu i do prowadzonej przez niego wojny, jednak proletaryat ten nie wda się w żadną akcyę, która by przyczyniła się do klęski jego kraju. Rozumie się, mówimy o proletaryacie, który ma swój kraj, ma wolną ojczyznę, a w tej ojczyźnie prawa obywatelskie. Dodajmy, że jest rzeczą znamienną, iż Kautsky o rewolucyi zbrojnej, jako odpowiedzi na wybuch wojny — nawet nie wspomina. Jakoż w Niemczech niema ani jednego człowieka, któryby wogóle wierzył w blizkość rewolucyi zbrojnej, a tem bardziej dekretował ją na wypadek wojny.

W krajach niepodległych rewolucya albo przynajmniej ruchy rewolucyjne mogą być odpowiedzią — nie na wojnę jednak, lecz na klęski wojenne. Taki był np. skutek wojny francusko-niemieckiej. Po klęsce sedańskiej obalono we Francyi Cesarstwo; po zawarciu sromotnego pokoju — wybuchła Komuna paryska. Nawet w Rosyi, czasu wojny japońskiej, która wcale popularną nie była i entuzyazmu żadnego nie budziła, ruch rewolucyjny proletaryatu rosyjskiego nastąpił dopiero po decydujących klęskach wojennych.

Widzimy więc, jak bałamutnym i fałszywym jest krzykliwy frazes S.-decki, że w razie wojny europejskiej proletaryat położy jej kres przez Rewolucyę międzynarodową i wzięcie w swoje ręce steru rządów.

Po tym rewolucyjnym wstępie odezwa zwraca się do naszych stosunków.

Dowiadujemy się tedy, że rezultat wyborów jest jednym z najważniejszych czynników, pobudzających carat do szukania „ucieczki i ratunku w nowej zawierusze wojennej“!! Tłustym drukiem nadaje się groźną, straszliwie rewolucyjną postać temu oto faktowi: „w całej Rosyi kurya robotnicza oddała swe głosy Socyaldemokracyi!“ Oczywiście, po tak przerażającym rezultacie wyborów rządowi carskiemu nie pozostaje nic innego, jak „szukać ucieczki i ratunku“ w wojnie! Wprawdzie można by zauważyć, że carat znajdzie o wiele bezpieczniejszą, wygodniejszą i pewniejszą „ucieczkę i ratunek“ w Dumie, która jest jeszcze reakcyjniejszą od swej poprzedniczki. Wprawdzie nasuwa się myśl, że rząd nie ulęknie się tuzina posłów socyalistycznych z czwartej Dumy, skoro nie uląkł się kilku tuzinów z dwóch pierwszych Dum. Ale — nie traktujmy tego na seryo. Przecież to tylko wybryk krzykliwego dumokrążstwa, które najbezpłodniejszy udział socyalistów w wyborach do najreakcyjniejszej Dumy będzie uważało za śmiertelny cios dla caratu.

Najciekawszem wszakże w odezwie s.-deckiej jest to, że ona ani słówkiem nie wspomina o tej szczególnej sytuacyi, w jakiej znaleźli by się Polacy w razie wojny rosyjsko-austryackiej, o tych zadaniach wyzwoleńczych, które by wówczas rewolucyjne żywioły narodu polskiego przeciwstawić musiały najazdowi carskiemu. Najazdowi? Polacy? Naród Polski? Jakiż to socyalpatryotyzm, „mącący świadomość klasy robotniczej“ a niepomny tego, że s-deckie „wznowienie rewolucyi“ polegać winno na wzniesieniu „gromkiego“ okrzyku: „Niech żyje republika demokratyczna w całem państwie z autonomią dla Polski!“ Bo przecież i podczas wojny, toczącej się na naszem terytoryum, nie wolno ani na chwilę zapominać o „całem państwie“ rosyjskiem i zdrożna myśl o oderwaniu się, o niepodległości nie powinna mieć przystępu do głowy proletaryusza polskiego! Będą się biły dwie armie — a „my“ będziemy krzyczeli „w Polsce i w Rosyi“: Niech żyje republika rosyjska! I złorzecząc rządowi rosyjskiemu, będziemy trzymali się Rosyi z całą siłą, jaką daje „organiczne wcielenie“. Taka to ma być rewolucya s.-decka....

S.-decy zapewniają w odezwie, że nie pójdą „na rzeź przeciw proletaryuszom tureckim lub austryackim“. Rozumie się, że byłoby socyalpatryotyzmem nie do wybaczenia wspominać o tem, że wród proletaryuszów „austryackich“ są — Polacy i że to ma niejakie znaczenie w danym wypadku. Lepiej o nich nie mówić przy tak drażliwym punkcie, jak wojna, bo nuż by komu przyszło do głowy zwątpić o tem uświęceniu kordonów zaborczych, którego dokonała Róża Luksemburg, a potem Roman Dmowski itp.?! A może dlatego o nich wspominać nie warto, że i ich obowiązkiem byłoby wznosić podczas wojny „gromki“ okrzyk: Niech żyje republika w całem państwie rosyjskiem z autonomią dla Polski! Może i ich obowiązkiem było by bronić — całości państwa rosyjskiego?

Ech, panowie s.-decy, lepiej byście zrobili, nie dając wskazań politycznych w tej draźliwej dla was sprawie. Wykazujecie tylko marność i nicość swego antinarodowego stanowiska, do którego rrewolucyjne frazesy tak pasują, jak kwiatek do ordynarnego kożucha...

Pretensya p. Niemojewskiego. Cokolwiek będzie się działo na świecie, „Myśl niepodległa“ zawsze z tego skorzysta, aby wystąpić z jakąś pretensyą do papieża (albo do żydów). P. Niemojewski ogromnie jest zadowolony z przebiegu

wojny bałkańskiej i krzyczy: hura! tak zapalczywie, że aż piekarze tureccy w Warszawie drżą, czy ich czasem p. Niemojewski nie ogłosi za wrogów wewnętrznych i nie urządzi przeciwko nim pochodu krzyżowego. Lecz p. Niemojewski gniewa się, że mu w jego przeciwtureckiej polityce nie sekunduje — papież. Zdaniem p. Niemojewskiego, najświętszym obowiązkiem papieża było by solennie podziękować Słowianom bałkańskim za ich chrześcijańskie dzieło. Przecież papieże organizowali pochody krzyżowe i błogosławili dawniej władców chrześcjańskch na walkę z muzułmanami! P. Niemojewski z goryczą tedy konstatuje, że prawosławni bałkańscy muszą się obejść bez błogosławieństwa papieża, który ulega wpływom „antisłowiańskiego" Wiednia.

P. Niemojewski stanowczo za dużo chciał by protektorów dla Słowian bałkańskich. Czy nie wystarczy, że ich proteguje car i Koło polskie w Petersburgu a Wolna Myśl w Warszawie? Pocóż jeszcze pociągać do tej akcyi papieża?

Sądzimy, że papież w danym wypadku objawił więcej taktu i zmysłu politycznego, niż Wolna Myśl warszawska. Objawił też zarazem więcej zmysłu historycznego, snać uprzytomniając sobie, że Turcy dzisiejsi nie są już Turkami z czasów wypraw krzyżowych. A najpewniej pamiętał o tem, że tryumfy wojsk prawosławnych nie są tryumfami katolicyzmu: przeciwnie, właśnie Turcy bronili w swoich dzierżawach katolików od fanatyzmu prawosławnego.

Ale oczywiście: gdy Wolna Myśl warszawska krzyczy z jakiegoś powodu: hura! to musi mieć pretensyę do papieża, że jej nie wtóruje...

Polityka bałkańska a polityka bałwańska. Dumscy kołopolacy rozpoczęli swą działalność polityczną przesłaniem królowej bułgarskiej 3 tys. rubli na rzecz rannych Słowian, zarazem też wyrazili „podziw dla braci Słowian, walczących w obronie świętej sprawy Wolności, której nikt lepiej od nas (od kołopolaków!) ocenić nie potrafi".

Jest to tedy wyraźna manifestacya panslawistyczna, która świadczy, w jakim kierunku pójdzie działalność petersburskiego Koła. Rozumie się, tym panom nie chodzi bynajmniej o filantropię, o danie wyrazu uczuciom ludzkości, o wspomożenie ofiar wojny. Gdyby do dmowskich serc takie uczucia miały przystęp, to myśleli by nie tylko o rannych Słowianach. Może by wzruszył ich także los rannych Turków, może by nawet doszli do wniosku, że stokroć godniejszy litości jest los rannych Turków, którzy cierpią nie tylko od ran, ale i od klęsk swego narodu.

Lecz — powtarzamy — kołopolakom chodziło o manifestacyę panslawistyczną, a sympatya dla południowych „braci Słowian" jest niedwuznacznem kokietowaniem wschodnich „braci Słowian". Powoływanie się na „świętą sprawę Wolności" jest tutaj niczem innem, jak pochlebianiem knutowi petersburskiemu.

Że Petersburg urzędniczy, jeneralski, popi, burżuazyjny ogromnie przejmuje się „świętą sprawą Wolnści" — Słowian bałkańskich, w tem nie ma nic dziwnego. Ale jeżeli kołopolacy n.-deccy przejmują się tym petersburskim nastrojem, to jest to tylko dowodem, jak wiernymi są giermkami imperyalizmu rosyjskiego. Jest to też dowodem, jak n.-decy pojmują „naszą samodzielność duchową", o której wciąż rozpisują się pp. Baliccy.

A z jakim to gestem wspaniałym kołopolacy prawią o „świętej sprawie wolności, *której nikt lepiej od nich ocenić nie potrafi*"! Jak to ci

ugodowcy marni, wybijający pokłony państwowości rosyjskiej, umieją się drapować w płaszcz, „świetnościami dawnych przodków świetny“! Zaprawdę, ci zaciekli kontrrewolucyoniści „potrafią ocenić“ walkę o wolność, ale pod dwoma warunkami: popierwsze, musi ona odbywać się daleko, daleko od Polski, „fern in der Türkei“, a po wtóre, musi odpowiadać intencyom polityki rosyjskiej.

Na podkreślenie wreszcie zasługuje to, że grzeczni ci kawalerowie kołopolscy nie tylko 3 tys. rubli, lecz i swą miłość dla „świętej sprawy Wolności“ powierzają — królowej bułgarskiej. Ten flirt wolnościowy powinien być oparty na wzajemności. Ciekawiśmy tedy, czy królowa bułgarska odwdzięczy się kiedy i przyśle chociaż 3 ruble na „świętą sprawę Wolności“ — w Polsce.

Rezolucya młodzieży „lewicowej“. Jakiś w najszerszych kołach nieznany „wiec młodzieży socyalistycznej“ — czyli poprostu zebranie gromadki młodzieńców z „lewicowej“ „Spójni“ lwowskiej — ogłosiło protest „przeciwko nadużywaniu firmy akademickiej młodzieży socyalistycznej i sztandaru Międynarodówki, przez socyalistyczno-niepodległościową młodzież z „Życia“ w urządzanych przez nią wespół z żywiołami burżuazyjnymi obchodach i manifestacyach patryotycznych“.

Manifestacye, o których tu mowa, bynajmniej nie budziły w nas zachwytu i niewątpliwie nadają się do krytyki z punktu widzenia socyalistycznego. Chodzi o to, że młodzież socyalistyczna nie nadała swego piętna tym manifestacyom, nie ożywiła ich swoim duchem, zupełnie niepotrzebnie zrzekając się swojej jaźni na rzecz „koordynacyi“ ogólno-narodowej. Dość powiedzieć, że, czyniąc widocznie ustępstwo „narodowcom“, nie śpiewało wcale pieśni socyalistycznych. Wogóle manifestacye te miały charakter zanadto modlitewno-sentymentalny.

Przeciwko krytyce, utrzymanej w tych granicach, nic byśmy nie mieli. Ale lewicowcom ze „Spójni“ nie o to chodzi: oni uderzają w welki dzwon Międzynarodówki, aby wogóle potępić manifestacye polityczne. Naturalnie, manifestacye takie nie podobają się „lewicowym“ Jagiellonom, oni występują nie przeciwko zboczeniom i kompromisom ideowym, które i my wytykamy, lecz przeciwko przewodniej myśli tych manifestacyj: dążeniom niepodległościowym. Niczego innego od nich spodziewać się nie można. Ale niechże Jagiellońscy młodziankowie nie powołują się na Międzynarodówkę, założoną na obchodzie londyńskim ku czci powstania 1863 r.!

Młodziankowie, niedawno odstawieni od piersi matki-lewicy, zarzucają, że „ukrywa się przez wywieszenie czerwonego sztandaru reakcyjny społecznie i wrogi socyalizmowi charakter stronnictw i żywiołów wespół manifestujących“. My zarzuciliśmy, że czerwony sztandar zbyt małą odegrywał rolę w tych manifestacyach, że raczej zwijano go. A jagiellońscy szkolarze uważają za grzech wywieszanie czerwonego sztandaru na manifestacyach, które, bądź co bądź, miały rewolucyjną ideę, skierowane były przeciwko despotyzmowi i najazdowi moskiewskiemu!

Żaki lewicowe potępiają również udział w manifestacyach, jako „podniecających nastrój wojenny“, i przy tej sposobności znowu zasłaniają się Międzynarodówką. Pisaliśmy już w „Placówce“, dlaczego socyaliści polscy, protestując wraz z Międzynarodówką przeciwko wojnom zaborczym i łupieżczym, nie chcąc bynajmniej wojny ogólno-europejskiej i przeciwdziałanie takiej wojnie uznając

za konieczne i ze wszech miar pożądane, nie mogą jednak i nie powinni stać na stanowisku pokojowem wobec państwa rosyjskiego. Gdybyśmy żądali pokoju za wszelką cenę z Rosyą, to oddalibyśmy tylko przysługę caratowi i zaborczości rosyjskiej. Nie sprawie pokoju przysłużylibyśmy się, lecz zachłanności moskiewskiej i utrwaleniu, uświęceniu ucisku carskiego w Polsce. Dodajmy przytem, że manifestacye miały na celu nie „podniecanie nastroju wojennego", lecz wzbudzenie poczucia rewolucyjnego wobec wojny, która nie od nas zależy. Do czego tedy w danym wypadku służy młodej gwardyi jagiellońskiej czerwony sztandar Międzynarodówki? Do ukrywania niewolniczego stosunku lewicowo-rezolucyonizujących latorośli względem państwa rosyjskiego i wrogiego ich stosunku do walki o niepodległość Polski! Protestujemy przeciwko takiemu brukaniu sztandaru Międzynarodówki!

Stanowczo jednak zbyt poważnie traktujemy tych „klasowych" zwolenników pokoju z Rosyą. Przypomnijmy sobie, że ta sama młódź, srogo klasowa i o polityce narodowej nie chcąca nic słyszeć, jest zachwycona wyborem Jagiełły przez nacyonalistów żydowskich... Przypomnijmy to sobie — a dopiero wtedy w pełni będziemy mogli smakować humorystykę „nastroju wojennego" jagiellońskiej młodzi, rezolucyonizującej przeciwko — hasłom niepodległościowym...

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: WŁADYSŁAW PIOTROWSKI.

LWÓW 1912. — DRUKARNIA POLSKA — CHORĄŻCZYZNA 31.

